



8902

Egz. archiwalny IBL

[Handwritten signature in cursive script]

LWOWIECCY.

ROMANS HISTORYCZNY.

z czasów panowania Zygmunta starego,

przez

7

• AUGUSTA KRETOWICZA.

A. G. Bibliotece

Wacław Gzimirski

We Lwowie,
drukarnią Józefa Schnaydera
1829.

Fig. archiwalny IBI
<http://rcin.org.pl>



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. 1 Maja 77, Nr 72

00-30 Warszawa

Tel. 26-62 65, 26-02-31 w. 42

1806

<http://rcin.org.pl>

Jaśnie Wielmożnemu Józefowi

z G o r a j a

G o r a y s k i e m Ź u,

byłemu Kapitanowi Gwardyi Woysk Polskich,

Kawalerowi Orderu Legii honorowey,

w zakład uszanowania

poświęca

Autor

1 2

PRZEMOWA.

7

Przyobiecac i dotrzymac jest to tylko jedno“ mówi Francuz: i mojem to od dzieciństwa ulubionem bylo przystowiem. *Wszelako od okolicznosci zawista istota jaką jest czlowiek, nie zawsze zdota wedle checi swojej postepowac: raczcie przeto szanowni Czytelnicy przebaczyc za pózne troche uiszczenie się moje, w wydaniu tego dziełka, oraz przyimcie z pobłazaniem ten nowy ptód poczatkowego pisarza. Ze drzeniem tylko myśle o tém, iż i ta razą, jak w poprzedniczych pismach, nieominie mię surowa i bezwzględna krytyka. — Trafne,*

*Horacego: Omne tulit punctum,
qui miscuit utile dulci *)* było
mi powodem do doswiadczenia sił mo-
ich w zawodzie pisania historycznego
romansu; a jeśli połączywszy: prawdy
historyczne, znamiona obyczajów cza-
su, i pamiętne chwile wielkości Polski,
z uplotem zdarzeń, będących tworem
wyobraźni; bawiąc — choć maleńką
korzyść przyniosę czytelniczkom moim;
spetnia się moje życzenia. — Polki!
znana mi jest czułość serca waszego,
znane mi jest zamiłowanie wasze do li-
teratury, znanem jest przywiązanie do
wspomnień oyczystych, pragnąłem wszy-
stkiemu temu zadość uczynić: a jeśli los
nieszczęśliwej Maryi tyłka jednę tu i
ówdzie z oczar pięknych wyciśnie ciężkę,

*) Wszystkie ma za sobą głosy, kto z po-
żytecznem połączył przyjemne.

jeśli dziełko to, choć ostatnie miejsce
zajmie w szafach wybranych książek
waszych, jeśli gdzie niegdzie wspomnie-
nie historyczne uniesie was; wtenczas
osiągnawszy cel mój, sownie wynagro-
dzonym będę. Dla tego, uczeni rozbie-
racze dzieł! chciejcie przebaczyć, może
gdzie niegdzie znaydujący się omyłke chro-
nologiczney lub jenealogiczney, chciejcie
pobłazać słabości stylu niewprawnego pió-
ra, czas i usilna praca, czyże w dalszych
płodach i od tego mnie uwolnia. Może mi
zadacie, iż romans ten nie wszędzie zgadza
się z prawidłami pisarzy téj gałęzi li-
teratury, niesprzeczam się — nieznanome
mi są te prawidła; cała moja nauka
w tym względzie, było czytanie Wal-
tera Skotta i Bronikowskiego, ale za
słaby, abym mógł w locie tym ortom
sprostać — chętnie przystanę, jeśli nie-
zgodność z prawidłami zarzucicie pismu

temu, dōdaycie tylko, iż jest czułem i
tę wyciskajacem, a taki uczuję tryumf
w osadzeniu waszém, jaki uczuł Wol-
ter, gdy wychodząc z teatru po przed-
stawie któreys' ze swoich Tragedyi, za-
rzucajacemu mu krytykowi, iż sztuka
iego nie jest klassyczna, odpowiedział:
»ale wszyscy płakali.«

*Pisałem: we Lwowie, na dniu 15.
Maja 1828.*

SZYDŁOWIECCY.

7

CZEŚĆ PIERWSZA.

1 ***

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Pragnąc wynurzyć sobie skrytość serc wzajemnie,

Powiedli się za ręce do ciemnej komnaty,
Kędy drzwi okowane, okna stroyne w kraty
I tam mówili długo, długo potajemnie.

Tadeusz Kretowicz.

Już wieczór zbliżać się począł, ostatnie tylko jeszcze promienie ognisto zachodzącego słońca jesieni, czerwieniły wysokie gotyckie okna sali zamku Grabowieckiego, w której panującą cichość przerywał tylko jednostayny chód dużego ściennego zegara. W około długiego, kosztownym kobiercem okrytego stołu w środku sali, znajdowało się kilka porozstawianych

krzesel, wedle zwyczaju owych czasów, poobijanych amarantowym adamaszkiem, i suto złotými galony szemerowanymi. Stojący na stole duży dzban srebrny, i kilka srebrnych połączanych puhałów, świadczyły, iż Pan domu, Starosta Rawski przyjmował kogoś w gościnę. Nowo obrany Kasztelan Krakowski, Krzysztof Szydłowiecki, przyjaciel i towarzysz młodości Starosty, opuścił przed godziną zamek. Tutaj obaj przyjaciele, długo potajemną prowadzili z sobą rozmowę, po której ukończeniu, wproszono do sali Jadwigi, małżonki Starosty, i Stanisława syna Kasztelana, gdzie aż do odjazdu gości, wśród żartów i rozrywki przyjemnie czas upływał. —

Teraz w usamotnionej sali, tylko Kazmierz, syn Starosty mocnym przechadzał się krokiem. Zdawał się być zamyślonym, a jego częste niecierpliwie na drzwi rzu-

cane spoyrzenia, okazywały, iż oczekiwał przybycia oycy, który mu tutaj na siebie czekać rozkazał, gdyż w ważnym chciał pomówić przedmiocie. Podczas bytności Kasztelana nie znajdował się Kaźmierz w zamku — pod pozorem udania się na łowy opuścił zaraz z południa Grabowiec, i błąkał się w okolicach Szydłowca. Jego naygorętsze dziś spełnionemi były życzenia, dzisiay znowu widział się i mówił z piękną Maryą, córką Szydłowieckiego, dzisiay dłużey niż kiedy, gdyż dozwalała tego, bytność Kasztelana w Grabowcu. Jakże uniesionem było serce jego, jak niespokoinym jego umysł! Dzisiay niewinna Marya piérwszy raz nieśmiało rzuciwszy się w jego objęcie, z zapłonionem licem wyznała mu skłonność swoje, dzisiay umyślili wzajemne przywiązanie poodkrywać rodzicom, i od tychże prosić błogosławieństwa. W prawdzie Oyciec Maryi

pomimo jawnego sprzyjania Kaźmierzowi, niechętnie zdawał się spostrzegać zbliżanie się kochanków — w prawdzie dla tego tylko przymuszonymi byli tajemnie używać drogich chwil widzenia się z sobą — ale czegoż dzieci po tkliwém sercu rodziców spodziewać się nie mogą? Wszelkie zarzuty, które trwożliwa czyniła Marya, niczém były dla ognistego kochającego młodzieńca. Serdeczném ucałowaniem przymusił do milczenia różane jéy usta, przedsięwziął tego jeszcze wieczora, rzucając się do nóg oycy błagać o błogosławieństwo, i wstawienie się do Kasztelana; a gdy zdała dostrzegli powracającego oycy Maryi, czułem uściśnieniem pożegnał Kaźmierz kochankę, i pospieszył ku rodzinnym murom Grabowca. —

Po godzinnym obiegu zaczęło znowu z hurkotem burzyć się wnętrze zegara, a następne uderzenia dzwonu, oznaymiły go-

dzinę ósmą. — Otworzyły się drzwi sali, i wolnym krokiem wszedł poważny Starosta. Przyjazne rysy twarzy jego cokolwiek okazywały ponurości; wszelako z przymileniem zbliżając się do syna rzekł: »Witay Haziu z łowów — jakże ci szczęście sprzyjało? Zapewneś nam dzisiay przyniósł na wieczerze pare zajęcy, albo kuropatw? Przecież twoja broń niezwykła była chybiać nigdy.« — Wrzucił tylko ramionami na to zapytanie Haziemierz, a Starosta mówił dalej: »a zatem nic? — to niepowinno zatruwać wesołości twojej, jeżeli nie dziś, to jutro, a skoro nam Bóg da doczekać ponowy, możemy to stokrotnie nagrodzić. — Wszelako szkoda, iż właśnie dziś niezostałeś w domu, szanowny mój przyjaciel, Kasztelan Szydłowiecki odwiedzał nas, wesoło wypróżniłiśmy kilka puharów węgrzyna, wszyscy żalowali iż cię nie było w domu, a oso-

bliwie walny Stasio Kasztelana. Mówił ón, iż twoja wesołość we dwakroć uprzyjemniłaby była ucztę naszą. — Ale cóż to mój synu? ja mówię i mówię, a tyś mi jeszcze i słowa nieodpowiedział, jak widzę Stasio byłby się zawiódł dzisiay w oczekiwaniu swoim.» — »Przebacz drogi oycze!« odparł Różmierz, całując z uszanowaniem rękę starca, »niepomysłność łowów dzisiejszych zatrula wesołość moją tylko na chwilę, ale w krótkce ją odzyskam.« — »Tego się spodziewam,« rzekł Starosta, »gdyż tak skrzywioney twarzy nie lubię widzieć przed sobą. Wesołó! mój synu, wesołó! każ przynieść wina, ażebyśmy na poufney pogadance ten już przydługi wieczor jesieni strawili, będą ci opowiadał co ze zdarzeń młodości mojej. — Bytność Szydłowieckiego nie jedno słodkie odnowiła w mém sercu wspomnienie, nie jedną przygojoną już, serc na-

szych ranę, trochę boleśnie poruszyła, o wielu mówiliśmy rzeczach, i dla tego, tak rozmownym dziś jestem — no! mój Kazimierzu, każ przynieść wina, i usiądź tutaj naprzeciw mnie, tylko rozjaśnij czoło gdyż i ja musiałbym stracić wesołość moją.» —

Posłuszny woli oycy, zawołał Kazimierz, a natychmiast stroiny służalec wniósł dzban tokayskiego wina, z którego napełniwszy Kazimierz dwa puhary, zapytał: »ale gdzież jest droga matka moja? niechceż ona dziś wspólnie z nami przepędzić wieczora?« — »Dziś« odpowiedział Starosta »wymówiła sobie tę samotność, gdyż jutro przypada rocznica śmierci jej szanownego oycy, świętęj pamięci Hetmana wielkiey korony, Mikołaja Hamienieckiego.« — Jego pamiętce poświęca ona dzień ten, trawiąc go na modlitwie i ofiarach świętych. Wzniesź puhar mój synu!

wykrzyknął daley z uniesieniem »pamiętce walecznego wodza! — a gdyśmy właśnie o nim wspomnieli, więc od niego poczną opowiadanie moje.« Odkrząknawszy więc i oparłszy na ręce swoje głowę, jak gdyby zbierając myśli, pomilczał chwilę i tak mówić zaczął Pan Grabowca:

Było to w końcu roku 1509, gdy tenże szanowny Hetman zwycięsko wrócił z wyprawy przeciw Hospodarowi Wołoskiemu Bochdanowi. — Sławne zwycięstwo, które tam z małą garstką Polaków nad liczném wojskiem nieprzyjaciela odniósł, zaszczytne przyjęcie, którem przy powrocie Król go udarzył, pełne uniesień pochwały współobywateli, wszystko to, nayprzyjemniejsze na umyśle jego czyniło wrażenie. Usposobienie ducha jego, gdy wrócił do dóbr swoich, tak było wesołe, iż bez oporu zadość uczynił naygorętszym życzeniem moim, dając mi

za małżonkę ukochaną córkę swoje Jadwigę, co już dawno było celem obopólnych życzeń naszych, czemu wszakże Hetman niezdawał się być przychylnym. Opisać ci radość naszą, byłoby niepodobieństwem. Moja Jadwiga, która teraz, mogłaby być stawioną za wzór małżonek, była podtenczas wzorem i ozdobą dziewic polskich. — Najpiękniejsze zabłysły nam dni życia: uszczęśliwieni obopólnym posiadaniem i najtkliwszą miłością, udaliśmy się do tych tutaj oyczystych dóbr moich, i tu przeżyliśmy najszczęśliwsze w życiu lata, w których to jedno tylko nieco zatrzymało szczęście nasze, iż niebo nieobdarzało nas potomstwem. — Wszelako szczęście moje nierobiło mię bezczynnym; obowiązki obywatela i mnie nie mniej drogiemi były, jak wszystkim współziomkom moim. — Blizny, które niegodziwy Gliniski, wyrodny syn oyczyzny, zadał kra-

jowi naszemu, w płomienie rozżarzyły uczucie wszystkich dobrze myślących Polaków. — Zbliżała się chwila rozstrzygająca, pod dowództwem Księcia Ostrońskiego, stanęło liczne wojsko w obronie o-
czyzny. Niezważając na łzy i żale ukochanej małżonki, wyrwałem się z jéj objąć i pospieszyłem z moim hufcem złączyć się z wojskiem koronném. W krótcie zaraz Moskale pod Orszą porażonymi zostali, a wśród uniesień radości naszych współrodaków, wróciliśmy do zagrod rodzinnych. Wszelako w przody jeszcze ze zwycięzką wspaniałością weszliśmy do Krakowa. — Po odprawioném przez Prymasa Arcy-Biskupa Gnieźnieńskiego solenném nabożeństwie, odśpiewano Te Deum a sto wystrzałów z dział na murach stolicy, zwiastowało tryumf oczyzny. W środku głównego rynku miasta, znajdował się wspaniały tron. Dwa słupy ko-

sztownie złotem przybrane, podpierały karmazynowy aksamitny baldachin, którego końce w tysiącu sztucznych łamań, aż do ziemi spływały. Oba złotem i perłami naykosztownięy tkane krawędzie trzymał w dzióbie, wznoszący się nad tronem orzeł z lanego srebra, który z koroną na głowie przedstawiał oraz godło Państwa. Siedmiu rycerzy ze sztandarami zwycięskiego wojska, otaczało drogiemi kobiercami przykryte stopnie tronu, a zdała koniuszy wodził w złoty rząd przybranego rumaka królewskiego. Zwycięskie szeregi wojowników naszych w naypiękniejszym porządku uszykowane, stały w koło rynku. Kotły i trąby oznaymiły powrót Króla ze świątyni. — Przejęty i uniesiony wspaniałością całego orszaku, postąpiłem bliżey dla lepszego przypatrzenia się obchódowi. — Naprzód szły w lśniących od złota i kleynotów strojach przy-

boczne Gwardye Króla, ich proporce rozwiewane od wiatru, mieszaniem koloru czerwonego z białym, zachwycający oku sprawiały widok. Tuż za niemi wolnym krokiem postępywał dumnie, poważny Pan, zaledwie wyszły z lat młodzieńczych. Jego błękitny złotemi pętlcami szemerowany kontusz, otaczał lity pas, u którego groźnie wisiała, kosztownemi kamieniami kameryzowana karabella. Powierzchu przybrany był w ciemno-amarantową aksamitną szubę, okładaną sobołami, która na piersiach spiętą była kosztowną klamrą, wyobrażającą szpony orle. Wedle zwyczaju narodowego do pół ogoloną głowę, okrywała na bok zwieszona wysoka czapka, u przodu której, z brylantowéj gałęzi wzrastała kosztowna kitka. W obu rękach przed sobą niósł przepyszny oręż Króla, i zdawał się tak przedstawiać Geniusza pogromcę, wrogów oyczyzny. Był

to Andrzej Hrabia z Górki syn Kasztelana Poznańskiego. Za nim postępowało dwu poważnych Senatorów. Obaj już szanownym szronem wieku obielone mieli głowy. — Po prawey ręce, niosący na złotem tkaney poduszce, berło Królów polskich, było Mikołaj Firley herbu Lewart, jeden z najznacześniejszych Panów czerwoney Rusi, po lewéy na podobném wozgłowiu Stanisław Kościelecki Wojewoda Płocki, niósł jabłko państwa. Tęczyński zaś Jędrzey, Wojewoda Sandomirski po przed samym Królem postępował z koroną Jagellonów. —

Teraz dopiero ukazał się sam młody Monarcha. Do kolan spadającą suknią ze złotey lammy, okrywał w połowie, gronostajami okładany purpurowy płaszcz jego. Brylantowa gwiazda i krzyż kosztowny odznaczały władcę bitnych Polaków, a miodziężce oko jego z upodobaniem

spoczywało na zwyciężkich szeregach. U boków jego szli w strojach kościoła, Książę Prymas Gnieźnieński i Piotr Tomicki Biskup Krakowski. Za Królem w świetnych szatach znajdowało się wielu najsłynniejszych urzędników korony, Książę Mazowieccy i inni panowie polscy. Gdy już Król zajął miejsce na pomienionym tronie, ze środka szeregów wyjechał konno, waleczny zwycięzca pod Orszą. Jego piersi otaczał błyszczący stalowy puklerz, a na świetnej przyłbicy z pomiędzy błękitnych piór strusich, widzieć się dawał orzeł z rozpostartymi skrzydłami. — Błękitna szarfa utrzymywała u boku jego doświadczony oręż, odpowiadający świetnością swoją tarczy, na której gwiazda z pół księżycem przedstawiała klejnot rodziny Ostrogskich. Dumny jego arab wspiął się trzy razy, nieposkromiony wzdami jeźdźca, a jakby czcił przytomność

króla, w sztucznym biegu niósł bohatera ku stopniom tronu. Z oznakami najwyższej łaski przyjął Monarcha zwycięscę, a gdy ten, przedstawiając jenców, kornie przed Majestatem ugiął kolana, podnoszący go Zygmunt rzekł: »*Repræsentans patriæ ejus nomine gratias tibi agit.*« —

Tu dopiero dosiadł król czekającego nań rumaka, który tętniąc kopyty, dawał się z niecierpliwością oczekiwać chwili noszenia króla walecznych Sarmatów. Objeżdżając, przedstawiał Hetman najsławość z wojska królowi, a gdy i na mnie kolę przypadła rzekł: »W młodym wojowniku, przedstawiam ci miłoścy Panie, syna sławnego Kasztelana Chełmskiego, stał on się godnym swych przodków, łącząc waleczność żołnierza z rozwagą i rozsądkiem wodza. — Łętnie oddając mu sprawiedliwość, wyznaję Ci Najjaśniejszy Panie, iż dzielność



jego nie w małej części przyczyniała się do odniesienia niniejszego zwycięstwa.« Z upodobaniem spojrział na mnie sprawiedliwy władca, a dniem późniéj z rąk Kanclerza odebrałem Manifest królewski na Starostwo Rawskie. Uradowany pospieszyłem więc do Grabowca, gdzie w objęciach mojej Jadwigi, w krótkce znoju bitew zapomniałem. —

W krótkce potém Zygmunt z wyborem Panów polskich udał się na sławny Kongres Wiedeński; tymczasowo rządy państwa zdając Hasztelanowi Krakowskiemu, oycu mojej Jadwigi. Skoro tenże rozpoczął urzędowanie swoje, uwiadomił nas o tém liście, w którym żądał, ażebyśmy ten krótki czas, w jego towarzystwie przepędzili. Z naywiększym pospiechem czyniliśmy przygotowania do podróży, w kilka dni stanęliśmy w stolicy, lecz Jadwiga moja, powitała już tylko zwłoki dro-

giego oycy na katafalku. Jéy boleść i żal prawie do rozpaczyny dochodziły, niepocieszona w swym smutku, żądała odemnie spiesznego opuszczenia Krakowa, a skoro szanowne zwłoki walecznego wodza, najwierniejszego obywatela i najtłdniejszego oycy, w kościele Katedralnym złożone zostały, już w drodze do Grabowca widziało nas zachodzące słońce. — Boleść mojęy małżonki z dnia na dzień się powiększała, nic utulić jéy żalu, jéy łez otrzeć nie mogło. — Długie, bo smutne dni przepędzaliśmy. — Nadspodziewane wszakże zdarzenie, szczęśliwszy cokolwiek kierunek naszemu dało położeniu. — Zaraz po powrocie ukochanego króla do oyczyzny, umyślny rozkaz wezwał mię do Stolicy. Niemogłem paść na żadną myśl wyjaśniającą mi to powołanie, i tylko zawsze z téy strony wykladałem ie sobie, iż to iść musi o pozostałość Hetmana, w któ-

réy rzecz, sprawiedliwy Monarcha, mnie jako naybliższego krewnego i dziedzica, chce o zdanie zapytać — ale inaczéy rzecz się miała. Gdy po przybyciu mojm do Hrakowa dla zbliżającego się już wieczora dopiero w dniu następnym umyśliłem udać się do dworu, i już chciałem po utrudzeniu podróży pomyśleć o spoczynku, jeden z moich słuźalców doniósł mi, iż znaczny jakowys Pan, ile się zdaje ode dworu, zajechawszy przed dom, zapytał się o mnie, a dowiedziawszy się o mojej bytności, już tutaj pospiesza. — Ledwo co słów tych domówił, gdy wszedł do komnaty z poważném spoyrzeniem szanowny starzec. — Stróy świetny dostatecznie zaswiadczał o wysokiém znaczeniu, tak jak szlachetne rysy twarzy, o godności duszy jego. Miałem sposobność późniéy poznać go bliżéy, dziwić się nad wielkością umysłu jego w różnych położeniach,

a nakoniec wespół ze synem jego, płakać nad grobem szanownego starca. Byłto Michał Szydłowiecki Hasztelan Radomski, oyciec mojego kochanego Krzysztofa. Godny ten mąż wysłanym był do mnie od króla. — W skutku ukończonego właśnie zjazdu Monarchów w Wiedniu, uznał nasz dwór za potrzebne, w niektórych okolicznościach porozumieć się z dworem Francyi. — Po bezpotomném zeyściu Ludwika XII, objął był właśnie tamże panowanie młody i porywszy Hrabia *Angulem* pod nazwiskiem Franciszka pierwszego. Wedle zdania Króla miał jeden z naywierniejszych obywateli kraju naszego, udać się tam ze zleceniami. Kilku przychylnych mi przyjaciół, mających udział w tajnéy radzie Zygmunta, którym wiadomy był nieutulony żal mojęy Jadwigi po stracie oycy, przełożyło mię do tego poselstwa. — Dzięki! tym szla-

chetnym mężom, którzy tym środkiem przyłożyli się do zmniejszenia cierpień mojęy drogięy małżonki, dosięgli oni celu swego, i wzbudowali sobie w męm sercu pomnik wdzięczności, trwać mający jeszcze i po tamtęy stronie grobu. —

»Król przyjął jak naychętnięy to przełożenie« tak kończył zlecenia swoje sędziwy Pan Szydłowiecki: »buduje on na »wierności Waszëy zacny Starosto, którëy »rękoymią są mu: Wasza waleczność, za »sługi pamiętne oycy Waszego, oraz za »wcześnie dla dobra narodu zmarłego Hasztelana Krakowskiego a waszego teścia.« — Skończył — i wraz wręczył mi duży pieczęcią państwa obwarowany pakiet. — »A »teraz godny Panie Grabowski,« mówił dalëy Hasztelan: »teraz gdy poddany zlecenie Pana dostatecznie spełnił, zwraca się »do was, nieposkromiony w żalu, oyciec »po oddaleniu syna. Szanowny Staro-

»sto! udajesz się niezwłocznie do stolicy
 »Francyi; mój jedyny syn znany ci zape-
 »wne choć zdala Krzysztof, już od kilku
 »lat przebywa tam, niedając najmniey-
 »széy o swojém życiu i powodzeniu wia-
 »domości. Znany ci jest niezawodnie
 »sposób myślenia tego młodzieńca, jego
 »niepohamowana żądza nauk, jego przy-
 »wiązanie do umiejętności. — Te to skłon-
 »ności przykówiają go do kraju, który jest
 »siedzibą kunsztów i piękności. — Wycho-
 »wany z synami świętęy pamięci króla Ka-
 »źmierza, wiele uzbierał umiejętności, udał
 »się z książętami do ziemi zlanęy krwią Zba-
 »wiciela, ale wróciwszy do Europy, lubo
 »księżęta dawno już odwiedzili niwy ro-
 »dzinne, on dotychczas bawi we Francyi,
 »i o tém uwiadomił mię zaledwie jednym,
 »przed dwu laty prawie odebrany listem.
 »Niewiém jak sobie to milczenie mam wykła-
 »dać, miałyżby listy jego nie dochodzić mię?

»albo, co niech Bóg odwróci! miałażby je-
»dyna nadzieja osiwiąłego oycy, bydź mu
»przez śmierć nielitośną wydarta? — Sta-
»ray się go tam wynaleść zacznij Starosto,
»powiedz mu: iż nad krawędzią grobu po-
»chylony oyciec, z utęsknieniem oczekuje
»uściśnień jego, powiedz mu, ażeby wra-
»cał, nim obca ręka, wyręczając go z obo-
»wiązku dziecięcia, przymknie powieki umie-
»rającego oycy.»

Widocznie malowała się boleść i wzru-
szenie na twarzy sędziwego starca, dumne
i ze łzami nieobeznane oko spłynęło kro-
plami oycowskiego przywiązania, gdy od-
dawał mi list do Krzysztofa. Przyobiega-
łem mu święcie, nieszczędzić trudu do wy-
nalezienia syna jego, a jeśli zlecenia moje
nie będą dłuższego pobytu w Paryżu wyma-
gały, osobiście przyprowadzić go na ło-
no oycowskie. —

ROZDZIAŁ DRUGI.

*Tym czasem słońce byway mi zdrowe
Byway zdrów kraju kochany!*

(Podług L. Byrona.)

A. Mickiewicz.

Z uniesieniem, po powrocie moim, usłyszała Jadwiga o przedsięwzięciu opuszczenia na czas niejaki, ziemi drogiej w prawdzie bo oyczystej, ale smutnej i ponurej, gdyż pokrywała to, co nam było naydroższem na świecie. —

Przybyliśmy do stolicy Francyi właśnie w ten czas, gdy woyska francuskie po odniesionem pod Marignianą nad Szwaycarami zwycięstwie, do siedzib oyczystych

2**

ciągnęły. Młody król, wrócił z całą dumą i rokoszą pierwszego zwycięstwa. Jeszcze na pobojuwisku, dał się sławnemu Bajardowi, zwanemu od Francuzów: *Chevalier sans peur et sans reprocher*, na rycerza pasować. Tylko wojenna wrzawa była brzmieniem serca jego, tylko zwycięstwa do zwycięstw radby był przyłączał, lecz obcemi były mu odtąd wewnętrzne stosunki kraju. Zlecenie moje obowiązywało mię ile możności starać się, powierzone pisma wręczyć rękóm samego Króla, jednak było to niepodobieństwem.— Dumna i żądna panowania matka monarchy, Ludwika z Sabaudyi, była prawdziwą rządczynią kraju. Pod imieniem syna swojego, a za pomocą ówczasowego Pieczętarza państwa Antoniego Prata, nieograniczenie władała. Wszystkie starania moje, sprawienia się osobiście z mych zleceń królowi, były bezowocnemi. Niewiém

czy na rozkaz królowéy matki, czyli króla samego, odesłano mię do kanclerza gdzie niezwłocznie udałem się. — Gdym wszedł do przepysznego całym wytworem smaku francuskiego przyozdobionego przed pokojem, powstał jeden z licznych znajdujących się tam dworzan, aby oznaymić ministrowi przybycie moje. Kanclerz właśnie pracował w swoim gabinecie, a dworzanin wszedłszy, niezupełnie zamknął podwoje, tak, iż wszystko, co się tam działo dostatecznie widzieć i słyszeć mogłem. Przy okrytym kosztownym kobiercem, i pełnym papierów stole, siedział z głową na ręku opartą Prąd, i nieobéyrazwszy się nawet na wchodzącego, słuchał oświadczenia przybycia mego.

»A zatém Polak?« wykrzyknął powstając z zapałem; gdy tenże ledwie ostatniego słowa domówił: Polak? »o! gdybym mógł nieprzyjąć go. Spiesz Louis, po-

»wiedz mu, iż mię niema w domu — iż
»słaby jestem — niechay idzie do króla,
»do królowéy, powiedz mu co sam chcesz,
»tylko uwolń mię od przytomności czło-
»wieka —

»Ależ,« odpowiedział nieśmiało i po-
kornie dworak: »Wasza Exellencya raczysz
»rozważyć, iż on pewnym jest, że dziś
»dzień posłuchania, i przystęp każdemu
»wolny, a potem, iż on przybywa ze
»zleceniami swojego dworu.« —

Jeszcze niemogłem paść na myśl, która
wyjaśniłaby mi powód nienawiści Kan-
clerza ku ziomkom moim, gdy rzuciwszy
powtórnie we drzwi okiem, uyrzałem spo-
koyniejszą nieco twarz ministra. — Po-
iwołnie wysłuchał odpowiedzi dworzanina,
dał skinienie wprowadzenia mię. —

Rozwarły się podwoje, a z obłudném
przymileniem grzeczności francuskiéy, wy-
szedł na przeciw mnie Prat. Był to mąż

w średnim wieku, z wysokim czołem, dość ponurym ale myślącym spojrzeniem, i czarnym w tył zaczesanym włosiem. Rysy twarzy jego nosiły piętno smutku, a niską kibić okrywała nad miarę złotem haftowana suknia dworu. —

Pominąwszy zwyczaje etykiety francuskiej przyjął mię, w najwyższym stopniu zimno. Po opisanu tego człowieka, jakiego mi uprzednio udzielono; innego niespodziewałem się przyjęcia, i dla tego mało zważałem na nie. W kilku słowach spełniłem zlecenie mojego Monarchy, a gdy we względzie odpowiedzi, zatrzymywania się mego przez ośm dni wymagał, już miałem się oddalić; wtém minister jak gdyby namyslając się, w prędkości potarłszy ręką wysokie czoło swoje, w te odezwał się słowa: »Powiedz mi szlachetny cudzoziemcze, czyli w waszym, znanym waleczności kraju, przebywa także spr-

»wiedliwość. Jestże wasz król, Zygmunt,
»Wielkim od was zwany, jestże on mo-
»cen, poszukiwać na poddanych swoich
»krzywd wyrządzonych obcemu? czyliż« —

»Hrabio!« zawołałem z uniesieniem
przerywając mu nadspodziewane zapytanie:
»i w północy kraju Polskiego, niewrzu-
szona wznosi się Temidy świątynia, a od-
kład błogostawione berło, sławnych Jagel-
lonów władza w narodzie naszym, żadne
przestępstwo nieumkło zasłużoney karze.
Ale pozwól Hrabio! niech wzajem zapy-
tam Was, skąd pochodzi ta dziwna mo-
wa? jak...« — »Cierpliwości zacny Polaku!«
odpowiedział Prat: »zapał, który okazałeś,
»gdy idzie o sławę narodu twojego, jest
»mi rękoymią, iż będzie mi dopomagał
»pomścić się z hańbienia teyże sławy.
»Chciey usiąść szanowny cudzoziemcze,
»udziel baczneho ucha powieści, może przy-
»długiey, ale nieobojętnéy zapewne dla

»ciebie, bo dotyczącéy się sławy narodu
»twojego. — Znaną ci jest niezawodnie
»familia Szydłowieckich, ma ona bydź je-
»dną ze znakomitych w kraju waszym?»

»Jakże bym jéy znać niemiał,« odpo-
wiedziałem »gdy już od pare wieków kraj
nasz znayduje w niéy naydzielniejszych
obrońców i naygorliwszych obywateli.« —
»A zatém chciéy mię wysłuchać,« mówił
daléy minister: »Przed pietnastu może la-
»ty, powracający z ziemi świętév syno-
»wie waszego niegdyś króla Rążmierza Ja-
»giellończyka, przebywali przez jakowys
»czas w téy stolicy. Ci kochania godni
»królewice, z których dwu już zdobyło
»tron sławnych przodków swoich, nie mniéy
»posiadali przychylnosc Francuzów, jak pó-
»źniey poddanych sobie Polaków. Miedzy
»znaczną liczbą młodzieży z pierwszych
»familii, która ich otaczała, znaydował się
»także młody Krzysztof Szydłowiecki. Tym

»tak przyjemnym cudzoziemcom, wyszcze-
 »gólniającym się: umiejętnościami, grze-
 »cznością i znajomością świata, otwarte
 »były salony dworu, jako i posiedzenia
 »wszystkich nayıpierwszych domów, które
 »oni często swą obecnością uszczęśliwiali.—
 »Po krótkim tylko pobycie, śmierć oycy,
 »powołała ksiąząt do oyczyzny, a po-
 »wszechnie żałowani z całą świtą opuścili
 »Paryż. Jeden tylko z ich towarzyszy
 »nayıpowabnieyszy i nayıwyższeńszy po-
 »został, ażeby dalej kształcić ducha swo-
 »jego na skarbach kunsztu i umiejętności,
 »jake posiada stolica nasza, a tym jednym
 »był Szydłowiecki. Ulubiony jak zawsze,
 »niepoprzestawał i po odjeździe Książąt,
 »odwiedzać wszystkich towarzystw, a oso-
 »bliwie dom mój, stał się niejako przy-
 »bytkiem jego. — W tym właśnie czasie
 »podołało się niebu dotknąć mię nayıbole-
 »śnieyszą stratą, wydzierając mi towarzy-

»szkę życia, najdroższą małżonkę. — Mo-
»cnym i trwałym był żal mój, a jedyną po-
»ciechą została mi jedynaczka córka, żywy
»obraz matki. — Eugenia, piętnastuletnia dzie-
»wica, powabem wiosnę przewyższająca, sta-
»ła się teraz duszą domu mojego. Obarczony
»zatrudnieniami urzędu, jako jedyny dora-
»dca młodego króla, niezdolałem dosyć strzedz
»tego drogiego klejnotu. W krótkce córka mo-
»ja, stała się celem uwagi i pochwał Pary-
»żanów. W liczbie iéy wielbicieli znaydy-
»wał się także twój rodak Panie, znay-
»dował się Szydłowiecki, a nim kto do-
»strzedz zdołał zbliżenia się tych młodych
»ludzi, miłość nierozzerwaném ogniwem
»społa ich serca.« —

»W tym właśnie czasie wystąpił na
»scenie dwóru naszego, z całą chwałą
»dzielnego wojownika młody Marszałek
»państwa *Lautrec*. Od natury jak naypo-
»wabniey ukształcony, polubieniec króla,

»towarzysz broni Bajarda, stał się w kró-
 »tce celem skrytych westchnień i nieje-
 »dnego tajemnego życzenia, piękności na-
 »szych. Tylko serce méy córki, było głu-
 »chem na pochwały jego, nieczułem na
 »jego zalety. Nie takim wszakże był ón
 »dla niéy, i ón stał się ofiarą wzrażenia
 »jakie sprawił widok mojej Eugeniï na
 »sercach wszystkiéy młodzieży, a w krót-
 »kim czasie objawił mi nayszczersze ży-
 »czenia pojęcia jéy za małżonkę.« —

»Uradowany tém odkryciem, niespo-
 »dziewając się żadnego sprzeciwienia ze stro-
 »ny méy córki, jeszcze tegoż wieczora od-
 »kryłem jéy zamiary Marszałka i moje po-
 »błażanie, tychże. Wyobraź sobie, szla-
 »chetny cudzoziemcze! moje podziwienie,
 »gdy uyrzałem Eugenię zaraz z początku
 »mowy mojej błędniejącą. Skończyłem —
 »a w téy chwili sród łez rzewnych rzuca
 »się dziećcie do nóg moich i łkając wyzna-

»je, iż serce jéy dawno już przynależy
»młodemu Polakowi, i że stałym jest jéy
»zamiarem, albo jego zostać małżonką, albo
»poświęcić dni swoje Bogu, w murach
»klasztoru. Zdawało mi się naykorzystniéy
»w tym razie użyć powagi oycy, ale ah!
»jakże się omyliłem! przy piérwszém ostrzey-
»szém słowie, sród naywiększego przera-
»żenia mego, upadła mi zemdlona Euge-
»nia przy nogach, a jéy stan po przyściu
»do siebie tak był niebezpiecznym, iż nay-
»spieszniéy lekarskiemu staraniu powierzo-
»ną bydź musiała.« —

Łzy przepchniły w téy chwili oko mi-
nistra, w krótce jednak, jak gdyby wsty-
dził się téy słabości, otarł je, i tak daley
powieść swoje prowadził:

»Bezsenne tę noc przepędziłem, nie-
»spokojnie uderzało serce, jakby przeczu-
»wało nayboleśnieyszy grot, który je miał
»przeszyć. — Bardzo jeszcze rano, oświad-

»czył mi lekarz, iż córka moja wprawdzie
»nie w niebezpieczeństwie, ale bardzo osła-
»bioną jest, i pragnie sam na sam pomó-
»wić ze mną. Udałem się do jéy pokoju,
»nadzwyczajna bladość twarzy świadczyła
»o osłabieniu jéy ciała, a ponurość spoy-
»rzenia wskroś przeszywała serce moje.
»O! w téy chwili chętnie wszystko byłbym
»jéy przebaczył. Zaledwo zbliżyłem się
»do jéy łoża, drząc ujęła rękę moję, bła-
»galnym żądając głosem: bym wybił sobie
»z myśli zamiary względem *Lautreca*, gdyż
»jéy serce i ręka nigdy innemu przynale-
»żać niebędzie, iak jedynemu przedmioto-
»wi jéy miłości, któremu niezachwianą po-
»przysięgła wierność i którego miłości za-
»kład pod sercem nosi.....«

»Potrzeba bydz oycem, oycem jedyne-
»go dziecięcia, i widzieć to dziecię ginące
»w nayokrutniejszym sposobie, ażeby po-
»jąć ból, który wtedy serce moje uczuło.

»Bez przytomności prawie opuściłem pokój, a niewiedząc co mam czynić, dzień ten wśród rozpacz, zamknięty w moim gabinecie, przepędziłem. Miłość oycowska, politowanie, wściekłość i zemsta, najstraszliwszą w moim sercu toczyły walkę. Nakoniec zwyciężyła zemsta, umyśliłem się srodze pomścić wydartą sławę dziecięcia, i domu mojego. — Zaraz dnia następującego udałem się do mieszkania uwodziciela — ale już zapóźno — tej nocy, powiedziano mi, opuścił nagle Paryż. Powróciłem w pół martwy od gniewu do domu, zaciętość moja przeniosła się teraz na córkę. Jak chętnie byłbym ją wyrzutami obarczył? jak chętnie byłbym jej przedstawił podłość uwodziciela? — ale ahl i widzieć jej nawet nie mogłem, gdyż jej ochmistrzyni w imieniu lekarza oświadczyła: bym się do niej nie zbliżał, każde bowiem wzruszenie umy-

»słu w stanie, w jakim się teraz znajduje,
»mogło by stać się przyczyną jéy śmierci.—

»Siły prawie ludzkie przechodzące
»zmarwienia, które mię w tych dniach
»dotknęły, znurzyły całą istotę moje. Po-
»łożyłem się dla wytchnienia na chwilę,
»ale sen mimowolny zawarł tak mocno
»powieki moje, iż aż drugiego dnia około
»południa, nadzwyczajny rozruch w domu
»przebudził mię. Zaledwo po ocknieniu
»się zdołałem cokolwiek zebrać zmysłów,
»gdy z przerażeniem wpadający dworza-
»nin doniósł mi, iż córka moja, téy nocy
»znikła ze swego pokoju, i nigdzie jéy
»znaleść niemożna. —

»Móy Boże! wykrzyknąłem z wybu-
»chem naywiększey rozpaczy: móy Boże!
»czemuś mię opuścił? powtórzyłem słowa
»Zbawiciela, i pospieszyłem wydać rozkazy
»dla wszystkich władz kraju, do ścigania
»uciekających. Widoczném już teraz było,

»iż uciekła z nędznym uwodzicielem; ale
»pomimo najstaranniejszych śledzeń i śla-
»du ich wynaleść niemogłem. Tak to już
»rok cały przeminął, odkąd moja Eugenia,
»moje szczęście, i moja spokoyność, wydar-
»te mi zostały przez twojego rodaka
»Panie, odkąd sława domu mojego, zde-
»ptana została, przez tę żmiją, którą kray
»mój na swoim ogrzewał łonie. Teraz
»pewną to jest rzeczą, iż do waszély udali się
»oyczyzny, a ja powtórnie zapytuje cię
»zacny cudzoziemcze: czy niedaremnie zwro-
»cę się do króla twojego o powrócenie mi
»dziecięcia, i otrzymanie sprawiedliwości
»nad niegodziwym uwodzicielem? — Wy-
»obraż więc sobie mój synu,« mówił da-
»lę opowiadający Starosta, odwilżywszy
winem zaschłe gardło: »w jakim z naydo-
»wałem się położeniu.» Teraz dopiero ja-
»sném mi było milczenie Krzysztofa wzglę-
dem oycy swojego. Niemógłem w żade

sposób w téy chwili dać stósownéy Ministrowi odpowiedzi, nadmienilem tylko, iż zbyt mało obznajomiony jestem ze stosunkami familii Szydłowieckich, i że inney dotychczas niejestem w stanie udzielić mu rady, jak by spokojnie oczekiwał odjazdu mego do Polski, z kąd może będę mógł bliższe dać mu objaśnienie. A jeśli, dodałem nakoniec: jeśli oni tam uszczęśliwieni obopolném posiadaniem w prawym związku błogie dni przepędzają, niemożesz Hrabio, dla własney i ich sławy nic lepszego uczynić, jak błogosławieństwem swoim potwierdzić szczęście kochanków. — Potomek Saula Hrabi Odrowąża, niemniéy przyozdobi drzewo pokolenia familii twojey, jak by je był waleczny przyozdobił *Lautrec*. Gdyby zaś, czego Boże uchoway! niczym dotąd nieskażona świętność imienia Szydłowieckich, w tym jednym potomku skażoną bydz miała, gdyby, czego się nie-

spodziéwam, ten dotąd za szlachetnego mi znany Krzysztof, jako niedzny uwodziciel, miał hanbą napiętnować imię narodu naszego, o! w ten czas pospiesz Hrabio do mojęy oyczyzny, a Szymon Grabowski, jako pierwszy oskarzyciel, wraz z tobą u stóp tronu Jagellonów, sprawiedliwego Zygmunta do pomsty wzywać będzie.»

Widocznie uspokojony Hanclerz pożegnał mię, a ja wzruszony tém, czegom się dowiedział, umyśliłem po otrzymaney tylko odpowiedzi zlecenia mojego, wracać jak nayspieszniey do oyczyzny. Było to mojem przedsięwzięciem, stać się pojednawcą między nieszczęśliwemi kochankami i oycem, skorobym tylką Eugenią, znalazł szczęliwą, w objęciu Szydłowieckiego małżonką. — Jedyńie to niepokoilo mię nieco, jaką odpowiedź dać sędziwemu Kasztelanowi. Miałem udać, iż go znaleść

niemógłem? albo nieprzyjemném od
ciem do grobu go wtrącić?

* * *

Była to przerażająca noc jesienna, gdyśmy powracając z Paryża blisko *Nancy* wśród ciemności zbłądzili. Droga prowadząca przez wielki, ale przierzadzony bór dębowy, poczyniała coraz ciemniejszą się stawać, tak, iż ledwo można było spodziewać się trafienia na gościniec. — Ogniste łysskawice prując chmurami otoczony widokrąg, okazywały nam swym blaskiem co raz pewniéj, iż zupełnie błędnie jedziemy, zagłębiając się w większą gęstwinię. —

Niemogąc inaczéj poradzić sobie, kazałem stanąć, umyśliwszy przynajmniéj oczekiwać końca burzy. Podczas tego zleciłem jednemu z dworzan, otaczających konno powóz, z siąść, i ile możności sta-

rać się gdzie o nocleg dla nas, gdyż bardzo podobnem się zdawało, iż tu gdzieś znajdować się musi chata leśnego, lub węglarza. —

Prawie godzina przeminęła, gdy mojego wysłańca powtórne uderzenia w róg, oświadczyły mi spełnienie życzeń naszych. Natychmiast rozkazałem dać mu podobnie odpowiadające hasło, ażeby wśród ciemności łatwiej trafić mógł do nas. Przybyły doniósł mi, iż o kilkaset kroków z tad, odkrył mały domek, ile się zdaje pomieszkowanie leśniczego, gdzie, chociaż nie pytał się jeszcze, nieświadom języka krajo-vców, spodziewać się można, przyjęcia na nocleg. Skoro stanęliśmy przed brama zabudowania tego, zakołatawszy na zapytanie: ktoby był? odpowiedziałem w języku francuskim, iż zbłąkani wśród nawalnicy podróżni proszą o przyjęcie na nocleg. Otworzono gościnne wrota, wjecha-

liśmy, a ja wysiadłszy ze znurzoną Jadwigą moją, wszedłem do nizkiéy izdebki, która nam przeznaczono. Cienkie drzwi drewniane, zamknięte, prowadziły z teyże do drugiey komnaty. Niewywczasowana małżonka moja, natychmiast położywszy się usnęła, i ja snem przyciśnione już poczynałem zawiierać powieki, gdy w przyboczney komnacie odgłos stąpania kroków męzkich coraz głośnieyszym się stawał. Często zdawały się towarzyszyć mu bolesne westchnienia. W reszcie dał się słyszeć płacz dziecięcia, wszelako poruszeniem kołyski w krótcie ukojonym został. Już na nowo do połowy prawie usypiać począłem, gdy głośna rozmowa w teyże samey komnacie prowadzona, powtórnie moje przerwała marzenie. — O ileż, powiększyło się zdumienie moje? gdy usłyszałem tam dźwięk oyczystéy mowy mojej? Utuliłem się w cichości, a wstrzyma-

wszy prawie oddech z ciekawością następującej dosłyszałem rozmowy:

Jeden głos: Więc to w rzeczy samej są Polacy? nie zawiodłżeś się?

Drugi głos: Pewnie, kochany Pani! wyraźnie słyszałem rozmawiających przy koniach ludzi, wiem nawet z nazwiska, kim są, gdyż podsłuchałem ich rozmowę. Jeden z dworzan zdawał się być nieukontentowanym, iż szukając noclegu wśród nawalnicy przemókł do nitki. Mówił ón: Gdybym był na miejscu Starosty, niewolałżebym spokojnie i wspaniale żyć w pięknym Grabowcu, jak tu po tej obcej błakać się ziemi. Ba! odpowiedział mu drugi: żeby Bóg niebył zabrał z tego świata starego Hetmana, ojca Starościny, pewnie byśmy tu dzisiay niebyli, ale tak, nasza Pani niemoże się utulić w żalu po nim, i dla tego szuka rozrywki w podróży. —

Pierwszy głos: A zatem młody Grabowski jest tutaj, syn sąsiada oycy mego? Boże! jak niespodzianie zesłaś mi pomoc twoję. —

Więcey nic dosłyszeć niemógłem, gdyż drugi głos zdawał się napominać go, by zbyt głośną mową niebudził nas. Wszelako całą noc prawie rozmawiało tam w cichości. Jeszcze kilka razy dał się słyszeć głos dziecięcia, ale zawsze prędko ukojonym został. Byłem więc już pewnym, iż to jest Szydłowiecki, a niecierpliwość widzenia go i dowiedzenia się o jego losie, nie dała mi oka zmróżyć przez noc całą. Z upragnieniem oczekiwałem świtu, jednak nad spodziewanie, już nad samym rankiem, usnąłem na chwilę. Przebudziwszy się, pierwsze spojrzenie moje padło na drzwi wiadoméj komnaty, które już na ościarz otwarte były i w teyże samey chwili wszedł do pokoju naszego

młody mężczyzna, którego już z rysów twarzy za Szydłowieckiego poznałem. Ubrany był zupełnie narodowo wedle stanu swojego, lecz twarz wybladła, okazywała znamie potajemnie pozerający go boleści, przeciesz wielkość umysłu jego przebijała się przez tę powłokę smutku, tak w rysach twarzy, jak i całej postaci jego. Nim jeszcze obudzony ze snu, zdołałem zdobyć się na przemówienie do niego, zbliżywszy się do mego łoża rzekł: »Przebac szlachetny ziomku, iż przerywam twój spoczynek, ale czynie to w stałym przekonaniu, iż godny syn szanownego Kasztelana Chełmskiego nie odmówi wsparcia nieszczęśliwemu rodakowi. Widzisz we mnie Starosto syna i jedyne go dziedzica Kasztelana Radomskiego, Michała Szydłowieckiego. Wiem Starosto, iż wynagrodzisz mi powzięte w pierwszój chwili do ciebie zaufanie, udzieleniem mi cier-

pliwego ucha w wysłuchaniu powieści moich nieszczęść i mego cierpienia»

»Jest ona mi aż nazbyt dobrze znaną, kochany Krzysztofie!« przerwałem mowę jego: »słyszałem ją z ust samego Prata.«

»A więc mylnie zupełnie sądzić o mnie będzieś Starosto!« odpowiedział Szydłowiecki: »racz mię wysłuchać, teraz bardziej niż kiedy błagam cię o to, ażebyś z obrzydzeniem nie odwrócił oblicza twojego od ziomka, którego całém przewinieniem była tkliwa miłość.« — »Dalekiem jestem od tego mój Panie Krzysztofie« odpowiedziałem »ażebym miał sądzić twoje postęпки. Chociazsłyszałem opowiadane to zdarzenie z ust rozgniewanego Prata, niewidziałem w niem nic, prócz przewinienia młodości i miłości. Niewstrzymuj się więc młody przyjacielu, przedstaw nam twoją piękną Eugenią, ażeby Jadwiga moja coprędczy w nię uściskała przyszłą

sąsiadkę i przyjaciółkę.« Łzy zaćmiły spojrzenie młodego Szydłowieckiego, spuścił głowę na załamane ręce i westchnął głęboko. — »Już teraz nie masz przyczyny rozpaczać młody przyjacielu,« rzekłem widząc to »ja stanę się pojednawcą między wami i kanclerzem, ja podejmuję się przygotować szanownego oycy twojego, i nie wątpię, iż w krótkce przyprowadzę do tego, że jako mój sąsiad i przyjaciel w objęciach Eugenii twojéj, na łonie ukochanéj oyczyzny, naypięknieysze będziesz trawił chwile. O! nie ociągaj się dłużej, kochany Szydłowiecki, poznać nas z tą osobiście, nad której wiernością już od dawna zdumiewaliśmy się.« — »Grób niepowraca zdobyczy swojéj!« mruknął z rozpaczą Szydłowiecki: »ona już nie żyje, w grobie znalazła nadgrodeę wierności. — Oyciec jéj, mógł ci szanowny Panie, opowiedzieć tylko zdarzenia moje

aż do ucieczki, dalej niewie ón co się wydarzyło. Gdy moja ukochana podczas owej okropnej nocy dom oycowski opuściła, już czekałem na nią z krytym powozem po za murami pałacowego ogrodu. Wsiadłszy, pojechaliśmy do małego domku, który w jednej z krętych uliczek oddalonego przedmieścia St. Germain, już w tym celu nająłem był. Tutaj przez dwa miesiące żyliśmy w naywiększej ukrytości zupełnie nieukazując się światu, a gdy oprócz mego wiernego Marcina, który nam pożywienie przynosił, z nikim przez cały ten czas nierozmawialiśmy, niewiadomo nam było jakich środków użył Prut do ścigania nas. Gdyśmy po obiegu tego czasu już sądzili, iż pierwszy zapal się uspokoił, opuściliśmy Paryż w celu udania się do Polski i z tamtąd dopiero listownie błagania o błogosławieństwo, może już cokolwiek mniej rozgniewanego, oy-

ca. Zaraz wyjechawszy z Paryża kilkakrotnie tylko szczęściem umknęliśmy prześladowcom naszym. Podobne przerżenia były naygorszych skutków dla mojej Eugenie, znajdujący się już w stanie znacznej ciężarności. Odtąd z wielką ostrożnością i to tylko nocami dalszą prowadziliśmy podróż. Poczciwy kapucyn w *Challone* udzielił nam błogosławieństwa kościoła i wzmocnił jeszcze związek serc naszych. Po czteromiesięcznym błędzeniu, gdyż nigdy nieważyliśmy się jechać, tylko manowcami, a przeto w dziesięćkroć powiększyliśmy naszą i tak powolną podróż, zajechaliśmy w te bory i trafem przed ten sam dóm. Szczęśliwém zdarzeniem, znalazła tutaj moja Eugenia w małżonce leśniczego naywierniejszą niegdyś służebną matki swojej, która ją jako dziecko na ręku jeszcze piastowała. Ze złami radości i politowania przyjęła nas ta po-

czciwa kobiéta, gdyż niewstrzymywaliśmy się odkryć jéy całkiem położenia naszego, zwłaszcza, gdy zbliżał się czas rozwiązania mojęy małżonki. Niestety! jéy i tak słabe zdrowie podkopane do reszty trudem podróży i obawą, niezdolało wytrzymać téy stanówczéy godziny, umarła we trzy dni po powiciu mi zdrowego i pięknego syna. Żal prawie całkiem odebrał mi przytomność, długo niemogłem przyść do siebie, nakoniec począłem rozważać i umyśliłem wracając do oyczyzny porzucić na zawsze ten kray, w którym tylko śmierć i rozpacz mię otacza. Jedyną przeszkodą do wykonania tego przedsięwzięcia jest syn mój, i myśl, komu odjeżdżając do Polski powierzyć mam pielęgnowanie tego drogiego zakładu wierności mojęy nieszczęśliwéy Eugonii. Przy sobię zatrzymać go nie mogę, znajome ci są zapewne Starosto zasady oycy mojego w tym wzglę-

dzie. Ah! naychętniéy rzuciłbym się do nóg jego, zniósłbym wyrzuty gniewu, i nie powstałbym przed otrzymaniem przebaczenia, gdyby Eugenia żyła jeszcze, gdybym dla niéy to czynił. Ale tak, mamże odkryciem losu mego, zachmurzyć drogiemu oycu wesołe niebo cnotliwéy starości? — tak błądzę w zawiłości nayokropnieyszego położenia, niewiedząc kędy znaleźć wychód z niego.« Skończył — ja spojrzałem na twarz mojęy Jadwigi i spostrzegłem ją łzami zalaną, w tém spojrzeniu zrozumiały się serca nasze, a zwracając się do Szydłowieckiego, rzekła małżonka moja: »Nieszczęśliwy Panie Szydłowiecki, jeśli nieodrzucisz wsparcia, lubo ci mało znayjomych, ale los twóy, prawdziwie czujących przyjaciół, dozwól mnie byđź matką twójego dziecięcia. Niebo zaprzeczyło mi przyciśnienia własnego potomka do macierzyńskiego łona, tym gorliwiéy

zastąpię twojemu synowi miejsce téy, która życie jego, swém własném przepłaciła.«
W uniesieniu radości, rzucił się Szydłowiecki do nóg jéy, a wnet zerwawszy się i wyniosłszy z komnaty dziecko, złożył je na rękę mojęy małżonki. Zbliżyła się ona do mnie, a jakby szukając w mém spojrzeniu potwierdzenia swego postępkę rzuciła się w moje objęcie. —

Wróciliśmy wszyscy razem do oyczyzny, ja i moja Jadwiga w naystalszem przedsięwzięciu poświęcenia się całkiem wychowaniu przybranego dziecięcia, i dotrzyaliśmy przyrzeczenia naszego. Udzieliliśmy mu naszego nawiska, dwadzieścia lat już przemigęło, a nikt i na myśl tę nie padł, iż ty Haziu jesteś synem Szydłowieckiego i nieszczęśliwey Eugenii, ale teraz, gdy«— W téy chwili, już w ciągu opowiadania kilkakrotnie blednący Kaźmierz upadł zemdlony na ziemię. —

ROZDZIAŁ TRZECI.

*What is faith, love, virtue, unassay'd
Alone, without exterior help sustaind.*

Milton.

Wiatr jesienny miotał w pół nagiemi już konary topol, otaczających zamek Szydłowiecki, dalekie przestrzenie widoczne z góry, na któręj wzbudowane to mieszkanie, jak nieprzezroczyta zasłona, mgła okrywała jesienna, a w tysiącu odbić roschodziły się odgłosy ogarów posforowanych i skrętnych słuźalców czyniących przygotowania do łowów. Nareszcie ozwały się trąby myśliwskie, z młodzieńczą

żywością wyskakujący z zamku Stanisław Szydłowiecki dosiadł rączego rumaka. Jedno okno z wychodzących na podwórze skrzypnęło, a w rannéy bieli przybrana Maryja zasłała pożegnawczy całus bratu. »Tak wczesnie już na łowy Stasiu?« zapytała swoim wdzięcznym głosem. »Tak wczesnie, a tyś już powstała Maryniu?« zapytał ją wzajem Stanisław. — »Życzę szczęścia Stasiu, a wracay prędko.« »Na wieczere obaczmy się znowu« rzekł i na czele myśliwców pospieszył z bram zamkowych. Jeszcze długo patrzyła za nim Maryja, aż mgły oku jéy go odciągnęły. Jakby modląc się wzniosła piękne oko do góry, pomyślała chwile, wpatrując się w strony Grabowca i przymknęła okienko swéy komnaty. Wolnym krokiem przechodząc się po kilku pokojach, stanęła przed jednemi drzwiami, gdzie usłyszawszy ruch, weszła do komnaty swéy ma-

tki. »Dobry dzień ci Maryjo!« rzekła Pani Szydłowiecka, »jużeśto powstała? ale czegoż tak bladą twarz twoja?« — »Bynajmniej droga matko, odpowiedziała Maryja. Wyjazd Stasia na łowy przerwał mi sen.« — »Jako już wyjechał?« zapytała Kasztelanowa. — »Przed chwilą« odpowiedziała Maryja. — »Ah moje dziecko!« mówiła dalej »nieuwierzysz jak mię dotyka ta jego nadzwyczajna namiętność do téy rozrywki. Ten nieustanny widok krwi, przytępia jego i tak niewielką czułość, a lesny pobyt czyni go co raz dziłszym i nieugiętszym. Wszak znasz jego namiętność i porywczosć w gniewie, możnaby nawet powiedzieć, iż bardzo skłonnym jest do nienawisći.« — »Kochana matko, odpowiedziała jéy Maryja, czyliżto nie jest narodową rozrywką i komuż ona lepiéy przystoi jak synom bitnego narodu? Kto wie może to ta wprawa do trudów i bro-

ni tyle nam wydała bohaterów. Droga matko! Stasio nie jest złym, ón jest porywczym tylko, a jego charakteru nieugiętość pewnie piękne zajmie miejsce w dziejach rodu naszego. — »O! komuż słodziej byłoby to nademnie kochana Maryjo! wszak wiesz ile przywiązaną jestem do was, jakże mogę być spokojną, gdy wiem, iż on całe dni wystawionym jest na tysiączne, zwykłe w takich razach przypadki. Ah! drzę na samo wspomnienie.« — Tutaj głośnie krząknienie dało się słyszeć za drzwiami komnaty, a siwa głowa poważnego starca wcisnęła się przez uchylone drzwi. »*Laudetur Jesus Chrystus*« rzekł wchodzący kapłan, a Maryja z uradowaniem mówiąc: to Oyciec Celestyn z Grabowca, pobiegła do ucałowania rąk jego. »Bóg z tobą piękne dziecie« przemówił uprzeymie sędziwy Oyciec, a obrociwszy się do matki: pozdriawiam Was go-

dna Kasztelanowo.« »Cóż Was tak rano przyprowadza wielebny oycze?« zapytała Pani Szydłowiecka: — »co tam szłyhać w Grabowcu?« — Maryja przystawiła krzesło, a usiadając rzecze Oyciec Celestyn: »W Grabowcu niewiele dobrego, wczoray w wieczór nagle zasłabł Pan Kazimierz, całą noc wszystko było w poruszeniu. Zaledwo całą moją umiejętnośćią w sztuce lekarskiéy zdołałem wyprowadzić go z jednego omalenia, wpadał w drugie. Botychezas jest w gorączce, mówi od rzeczy i strachem nabawia kochających rodziców. Mnie skoro swit wysłała Starościna, ażebym przed obrazem cudownéy N. Panny w Hrubieszowie odprawił wotywę na intencyją wyzdrowienia jego, a Starosta dał mi zlecenie, bym po drodze sprawił pewny interes u godnego Kasztelana tu na Szydłowcu.« »Nieszczęście!« rzekła z ubolewaniem Kasztelanowa. »Nieszczęście!« powtó-

rzyła z boleśn^{ym} westchnieniem, zbladła Maryja i obróciła twarz do okna, by ukryć oczy, z których jak perły łyły się potoczyły. W téj chwili nadszedł Hasztelan. »Dzień dobry ci Heleno,« rzekł, całując małżonkę. »Witay u nas pobożny Oycze! — Cóż cię tak rano już przywiodło z Grabowca?« — W krótkości opowiedziała Hasztelanowa mężowi, czego się dopiero od Oycy Celestyna dowiedziała, a z bolesn^{ym} westchnieniem i zmarszczon^{ym} czołem, natychmiast wezwał Hasztelan Oycy Celestyna do swego pokoju, gdzie zamknąwszy się z nim długą prowadził rozmowę. — Spoyrzała za odchodzącymi Hasztelanowa, wrzuszyła ramionami i poczęła myśleć, gdyż nigdy jeszcze niewidziała, ażeby coś podobne na j^{ej} małżonku sprawiło wzruszenie, jak wiadomość ta. — »Maryjo!« rzecze nareszcie, obracając się do córki. »Maryjo! wykrzyknęła przeł^{ek}niona widząc zbla-

dłłą twarz teyże, »co ci jest dziecie moje?« —
»Matko« — rzekła słabym głosem dziewi-
ca, i zemdlona upadła, na ręce jéy. Prze-
lękniona Kasztelanowa ledwo zdołała za-
wołać o ratunek, gdy już otworzyła oczy
Maryja. »Nic to droga matko, nic,« rze-
kła. — »Ah dorozumiewam się« odpowie-
działa Kasztelanowa, »wiadomość to ta nie-
szczęśliwa przeraziła cię. Biedne dziecie,
znam ja twoję skłonność ku Kaźmierzowi,
kocham go jak matka, bo naygodniejszym
jest tego, i gdyby to odemnie zależało,
pewnie spełniłabym szczęście wasze, wią-
żąc wam ręce drogim węzłem małżeń-
stwa. Ależ twóy oyciec Maryjo, on musi
mieć ważne przyczyny, kiedy jest prze-
ciwko temu, kochając tyle Grabowskie-
go. — Znasz jego wspaniałą duszę, nie-
sprawiedliwym, ani nieczułym byź nie-
umie. Uspokóy się Maryjo! przyidź do
siebie, może się to jeszcze da jako zrobić,

tymczasem lepiej zrobiemy obie, gdy pojedziemy do Hrubieszowa i tam na wotywie, którą odprawiać będzie O. Celestyn, wspólnie błagać będziemy Boga o przywrócenie zdrowia Kaźmierzowi i pocieszenie jego stroskanych rodziców. —

W pół prawie martwy, wybladły, z obłąkanym wzrokiem wyszedł po chwili Hasztelan z Oycem Celestynem z swej komnaty. »Jeszcze raz,« ozwał się żegnający Kapłan: »jeszcze raz zaklinam Was godny Hasztelanie, byście nieprzypuszczali miejsca boleści do serca waszego, wiara, którey wyznawcami jesteśmy, ta święta wiara, która nam przyświeca drogim przykładem cierpliwości założyciela swego, nigdy jeszcze ufającemu w jęj siłę, przeczyła pociechy. Zresztą szanowny Panie Szydłowiecki! zamiary Wasze były nayszystszemi; chcieliście świętego dopełnić obowiązku, a jaki bądź wyrok stwórcy

niezbadnego paść może; czystość zamiar pokóy serca przywrócić Wam musi. Jszcze niebezpieczeństwo z pewnością nie zagraża życiu Kaźmierza. Ja spiesze przed ołtarz cudowney N. Panny, może niegodne modły moje, zdołają i tę łaskę uprosić u dawczyni łask tylu; może jey ręką podźwigniony Kaźmierz, rzuci się w krótce do nóg twoich jako« — tutaj zamilkł jego głos pocieszający, bo postrzegł zbliżającą się Hasztelanowę i Maryję, które gotowe do odjazdu przychodziły pożegnać Hasztelana, i prosić pobożnego Oyca Celestyna, by uciążliwą dla wieku jego drogę, wraz z niemi w powozie odprawił. Hasztelan powróciwszy do swego pokoju, siadł a napisawszy list, rozkazał jak najszybciej jednemu z dworzan konno udać się do Grabowca. —

Rąco tym czasem pospieszał powóz asztelanowey, ku Hrubieszowu. Maryja

siedziała zadumana i słówka niemówiąc, bawiła się tylko złotemi sznurkami swéj paladynki. Jéy anielską twarzyczkę niedawno śmiertelną otoczona bladością, lekki powlekał karmazyn, ściśnione piersi co raz mocniéy oddéchając, przytłumione, tajemnie wydawały westchnienia; lecz nie westchnienia boleści. Nadzieja, ten duch rozgrzewający z ziębłe od bolu serca, i jéy złote mamidła, lubo w dalekiéy i mglistéy przedstawiał widowni. Słyszała ona była ostatnie słowa O. Celestyna do Kasztelana, i w nich mniemała wyczytywać przepowiednię szczęścia swojego. Niestety! w inném ona je brała znaczeniu jak były wymówione. Ukołysana słodkiemi marzeniami wyobrażała sobie wyzdrowionego Kaźmierza spieszącego do Szydłowca, rzucającego się do nóg jéy oycy i otrzymującego przyrzeczenie jéy ręki. Ilekroć na tę myśl padła, żywiéy krew w żyłach jéy

biegła, mocniéy serce bić poczynało i ciemniejszy rumieniec krasił lilie jéy lica. —

Naprzeciw niéy siedział sędziwy Kaptan, spozierając w myślach w niebiosamiem ufny, jak gdyby za każdym spozieniem rzec chciał: »Oycze ty czuwasz nad nami.« Jego zgrzybiała postać, świadcząca dostatecznie o ilości przeżytych lat, była widokiem uszanowanie nakazującym. Ogołoconą już z włosa głowę pokrywał zakonny kaptur, a spływająca w śnieżnych pierścieniach broda, jasno odbijała się na ciemnéy sukni zakonu. Spoziérał on niekiedy z udziałem na Maryją i zdawał się, pomimo zimy wieku swojego, uczuwać srogość jéy boleści. I on za młodu znał podobne katusze, i on znalazłbył istotę, która serce jego zajmowała i on musiał zrzec jéy się, a nakoniec, bydz świadkiem zapomnienia siebie od téy, dla której chętnie poświęciłby był życie. Wychowany

przy dworze Piotra Dunina Wojewody Brzeskiego, kosztem tegoż Pana, dla okazujących już w najmłodszym wieku nadzwyczajnych zdolności, wysłanym został, dla powzięcia nauk, do akademii w Padwie, a po lat kilkunastu pracy, powrócił na niwy rodzinne. Pospieszył do domu Wojewody, aby oświadczyć wdzięczność swemu dobroczyńcy, a w ówczas córkę tegoż, towarzyszkę młodości swojej, spółniczkę zabaw dziecinnych, Zofią, obaczył teraz w kwiecie wieku i piękności świefną dziewczicą — zadrzał i od téj chwili został ócz jéj niewolnikiem. Nie długiego potrzeba było czasu, ażeby i ona nie dostrzegła powabów żywego młodzieńca, ażeby nie wyczytała w spojrzeniach jego do swoich kroków przykówanym, ile mi jest ' — Zbliżyli się do siebie, miłosc uńcza długo tajemniczą zasłoną pokrywała ich skłonność. Nareszcie wa-

leczny Woyciech Gastold, późniey Wojewoda Wileński, Dunina sąsiad, zachwycony wdziękami Zofii, zbliżać się począł do domu Wojewody. »Zygmuncie!» rzekła dziewczica do kockanka: »niebo naszey miłości chmurzyć się poczyna; ale w przód martwe zwłoki twojey Zofii uyrzysz spuszczone do grobu kaplicy Brzeskiey, niż Gastolda, lub kogo bądź innego, twojey Zofii małżonkiem. Już jakiś zawistnik szczęścia naszego, otworzył oczy oycu mojemu, jutro będzie on żądał oddalenia się twojego z Prześcia, byway więc zdrów« — zemdlenie było jey przytomność. Nazajutrz ze switem odebrał Zygmunt kiesę pieniędzy wraz z kartką pisaną ręką Wojewody, w której żądał od niego jak najspiesznieyszego spuszczenia zamku i tey okolicy. Zostawił w swym pokoju pieniądze, sam wziął kiy podróżny, wyszedł z zamku, a spoyrzawszy na okno spiącej je-

szcze kochanki, zapłakał. »Byway zdrowa!« rzekł, »żegna cię wygnany, ale nie nie-szczęśliwy, gdy twoje serce posiada.« Po-spieszył natychmiast do stolicy, przyłączył się do woyska, które Król Jan Albert wła-śnie wtenczas przeciw Moskalom uzbrajał, i poprzysiągł albo walcząc doysć do takie-go stopnia, gdzie śmiało mógłby zażądać ręki córki znacznego Wojewody, lub zgi-nać. Usiłowania wiarołomnych Moskali pragnących odzyskać utracony Smoleńsk, długą i krwawą sprowadziły wojnę. Pod sztandarem Jérzego Paca i Mikołaja Soło-huba walczył Zygmunt przez lat dwa, za sprawę oyczyzny. Wrócił ozdobiony za-szczytem dzielnego wojownika. Już przy-był do Krakowa, gdzie z rąk Jana Łaski Kanclerza wielkiego koronnego miał otrzy-mać manifest na Starostwo Krzemienieckie, już w duchu widział się u nóg błogosła-wiącego Wojewody obok swéy Zofii — w

tym jak piorun straszliwa wieść przeraziła uszy jego: Zofia już jest poślubioną Gastoldowi. »Sprawiedliwe nieba!« westchnął nieszczęśliwy Zygmunt, téy jeszcze nocy opuścił stolicę, a po drugi raz z powodu kochanki tułaczem, błakając się dni kilkanaście, zaszedł do Rawy i tam w krótce po odbytych nowicyjacie, złożwszy świętą przysięgę, przyjął strój zakonu, który jak mur nieprzebity miał go odtąd dzielić od świata. Nigdy już więcéy niesłyszał o Zofii, a wiara, pobożność i prawdziwa ufność w Bogu, zrobiły jego serce na wszystko zimném — prócz uczuć ludzkości. — Nareszcie Grabowski zostawszy Starostą Rawskim upodobał sobie gorliwość szanownego Kapłana, a co więkksza poruszony opowiadaniem jego losu, wezwał go na Kapelana do Grabowca.

Rasztelanowa równiesz zamysłona, nadzwyczaj przejęta smutkiem przyjaciół,

zwłaszcza obok milczących, także smutnym tylko okiem oglądała z powozu rozległe równiny, które umarzająca jesień, ogłociła już z wdzięku i owoców. Słońce, bóstwo jasności przebiło się przez oponę chmur gęstych powlekającą widokrąg, a pokonana siłą promieni jego mgła, ustąpiwszy, okazała ledwo okiem dościgłe wzgórza otaczające te równiny. Wszelako wiatr świszcząc burzył cichość powietrza i wody pobliskiego Wieprza, tak, iż szumem ich ponure wydawał odgłosy. Nareszcie zabiełała zdala wieża kościoła Hrubiszewskiego. Zachęcony bliskością woznica pospieszył, i w krótkce stanął przed świątynią czystej i pełnej łask dziewicy. — Zabrzmiały organy, a sędziwy Kąpłan w stroju świętego powołania swojego wyszedł, aby odprawił pojednawczą i najprzyjemniejszą Bogu ofiarę. Na sam przód pospieszyła Kąsztelanowa z Maryją, a uklękawszy na sto-

pniach ołtarza, na dużym hebanowym i suto złotem przerabianym różańcu odmawiała pacierze. Obok nię Maryja z wzniesionym w niebiosa wzrokiem, zdawała się być podobną aniołowi opiekuńczemu nieszczęśliwego, który za nim prozbę wznosi do tronu stwórcy. Niemogąca się modlić, tylko niekiedy westchnienie zasłała do Nawiższego; ale on czytał w ję sercu i na promieniach wiary lał w nie balsam pocieszenia. —

Skończyła się wreszcie wotywa, znowu Pani Szydłowiecka zapraszała O. Celestyna do swego powozu, ale ten wymówił się chęcią prędszego zayścia do Grabowca ubocznemi drogami. — »Oycze!« rzekła żegnając go Hasztelanowa: »oświadz moje szczere ubolewanie nad smutkiem Starościny, pocieszay ją i przyrzecz, iż zapewne dziś z południa odwidziemy ich wszyscy.« —

Tym czasem w zamku Szydłowieckim ponura panowała spokoyność. Zadumany Hasztelan już po trzykroć zapytywał się dworzan, czy nie powróciła jego małżonka z kościoła? Jak gdyby niemógł znaleźć spokojnego ustronia, błąkał się po obszernych gmachach pomieszkania swojego. Niekiedy spoziérał niecierpliwie oknem ku Grabowcowi, i zdawało się, iż z upragnieniem oczekiwał powrotu wysłanego tam dworzanina. Nareszcie hurkot zajeżdżającego powozu na podwórze zamkowe, zwiastował powrót Hasztelanowéy, a tuż za nią z rozpuszczonemi wodzami na spienionym od pospiechu koniu powrócił posłaniec z Grabowca. Wyszedł na przeciw nim Szydłowiecki, a przywitawszy spiesznie małżonkę i córkę, »cóż mi przynosisz,« zapytał dworzanina, który skłoniwszy się list mu oddał. Pospieszył Hasztelan do komnaty, drżącą ręką odpieczentowa-

wszy pismo, następujące wyczytał wyrazy:

»Godny Hasztelanie i szanowny przyjacielu mój!

»List Waszmości zawierający tyle utyskiwań, pomnożył udręczenie, którego doznaję przez słabość Haźmierza. Przeczowałem ja już dnia wczorayszego, iż to za nadto nagłe odkrycie, może złe za sobą pociągnąć skutki; ale uczyniłem zadość woli Waszmości. Bardzo uchwalam chęć Waszmości, iż chcesz syna nieszczęśliwéy Eugenii przycisnąć do oycowskiego serca, ale radzę powoli w tym postępować: zamiarze, gdyż teraz każde wzruszenie umysłu mogłoby naygorsze za sobą pociągnąć skutki. Pozbawisz mię syna Hasztelanie, ale Haźmierz zyska oycę, a jego szczęście będzie szczęściem mojem, który go nie mniey kocham jak Waszmość. Bóg niedał mi dożyć radości oglądania potomków, któ-

4**

»rzyby ród mój utrzymali, a zatem, przedz
»dzéy czy późniéy podoba się stwórcy mnie
»i moję Jadwigę powołać do chwały swo-
»jéy, Kazimierz będzie dziedzicem dóbr
»moich. Wszelako wyznam Waszmości, iż
»niewiem, dla czego opowiadanie moje, tak
»nadspodziane na Kazimierzu sprawiło sku-
»tki, czyli go tyle wzruszył los nieszczę-
»śliwéy jego matki? czyli pomysł, iż nie
»jest mojem dziecięciem? Coś Waszmość o
»tym punkcie wspomniałeś w swoim liście,
»ale nie mógł dociec — wszelako ma to
»bydź rzecz, która nie trwoży wiele Wa-
»szmości, dla tego i ja chcę bydź spokoj-
»nieyszym, a oświadczając moję komiser-
»acyją nad boleścią Waszmości piszę się za-
»wsze Jego

humillimus servus

Andreas de Grabowiec.«

»Ale czemuż,« rzekł Kasztelan sam do
siebie, składając list napowrót: »czemuż

niedonośi mi, jaki jest właściwie stan zdrowia Haźmierza?— Miałżeby bydź niebezpiecznym? — O Boże wielki! zlituy się nad nieszczęśliwym oycem! który za wiele już wycierpiał, ażeby miał w utracie jego, na nowo odpokutować obłąkanie młodości.

Nadeszła tymczasem chwila obiadu — już od kwadransa czekała Kasztelanowa z córką, w sali jadalnéy na przybycie Kasztelana. Posłano nareszcie do jego pokoju, a gdy nadszedł i przy stole małżonka oświadczyła mu chęć po południu odwiedzenia zmartwionych sąsiadów, lubo niezwykły jéy nic odmawiać, odpowiedział: »Nie, Kasztelanowo, darujesz, dziś niy nic z tego bydź niemoże, mam ważne w tym przyczyny.« Spoyrzała tylko z zadziwieniem na Maryją, która potajemnie łezkę z ócz otarła, jak gdyby wiedząc, iż dla niéy tylko oyciec tego wzbrania. —

Napróżno starała się smutna Maryja po południu przysiłować do roboty; na rozciągniętej materji jéy krosien, nie jedna już łezka spadając, znak po sobie zostawiła. Dziś nikt ją wieczorem nieoczekiwał koło murów ogrodu, nikt nie miał życzyć jéy spokojnej nocy. Dziś nie spoglądała na słońce tym błagalnym wzrokiem, który zdawał się wymawiać: »o słońce! czemuż tak powolnym jest bieg twój.« Smutne obrazy snuły się tylko przed oczami jéy duszy, widziała Haźmierza leżącego w ostatnim tchu na łożu, w około niego płaczącą Starościnę i smutkiem pochylonego Starostę. Jéy żywa wyobraźnia, coraz jaśniejszemi ten obraz malowała barwami. Oto już drzwi otworzyły się, odgłos dzwonka zwiastuje przybycie O. Celestyna, który przychodzi, ostatnich pociech wiary udzielić umierającemu. »Matko! on w tej chwili kona.« — »Maryjo« za-

wołała tym wykrzykiem przełękniona Pani Szydłowiecka, która właśnie z pobożnym uniesieniem zaczytana była w wielkiej w skórę oprawnéj księdze, zawierającej żywoty świętych. »Córko moja! tyś jest słabą.« — »Nie, matko droga, nie troszcz się, jam jest zdrową, tylko tu, tu mię ciśnie,« odpowiedziała wskazując na serce. — »Chodź Maryjo,« rzekła Kasztelanowa »już chłodno ożywiający wietrzyk zwiastuje zbliżający się wieczór, póydz pod lipy do ogrodu, tam się ockniesz. Weźmij cytrę z sobą, zaśpiewasz mi co dla rozweselenia.« »Ah, matko!« odpowiedź jej Maryja: »śpiew mój dziś cię nierozweseli, niemogłabym, chyba naysmutniejsze śpiewać dumy, tak jestem smutną, iż radabym, żeby świat cały płakał wraz zemną.« — Wolnym krokiem poczęły obie zchodzić na dół, i weszły nareszcie przez żelazną i wyłzłacaną bramę do ogrodu, który się z

całą swą okazałością po pod górę zamkową rozciągał. Przeszedłszy kilka ulic lip starożytnych, usiadła Kasztelanowa na dani, a obok nięć smutna Maryja, wzięwszy kilka akordów, poczęła śpiewać:

Noc była ciemna — żadna z gwiazd nie tłała,
Czarne obłoki widnokrąg owisły,
Smutna, spłakana, nad brzegami Wisły
Lubwida stała.

Noc była ciemna — dzień przeminął krwawy,
Na mieczu wsparty — gdzie Jordanu wody
Stał rycerz krzyża, stał Włodzimierz młody,
Na polu sławy.

Wzniosła dziewica oko łą zroszone,
Westchnął młodzieniec wodległęj krainie,
Bo przedzielały, morza i pustynie
Serca złączone.

Mija czas długi, rok za rokiem spływa,
Już drugie lody od tchu wiosny przysły
Lubwida czeka nad brzegami Wisły,
On nie przybywa.

Prześtań Lubwido płonną pieścić marę
On rycerz krzyża, twój Włodzimierz młody,
Walcząc statecznie gdzie Jordanu wody
Poległ za wiarę.

Lecz na daremnie — co dzień kroki zmierza
Gdzie raz ostatni kochanka żegnała;
Aż jednej nocy kiedy tak czekała:
Urzy rycerza.

Noc była ciemna — gdy obok dziewicy
Staął kochanek świetną zbroją stroyny,
Z krzyżem na piersi, tak jak szedł do woyny,
Laur na przyłbicy.

Krzykła dziewica — lecz on zdala skinął
I rzekł: »Lubwido prześtań lzy przelewać!
»Tylko szczęśliwym możesz mię nazywać
»Za wiarę'm zginął.

»Gdzie w niebo barki wznosi Tabor stary,
»Stoją trzy palmy, pod niemi mogiła;
»Tam pochowano mię, Lubwido miła,
»Obrońcę wiary.«

To rzekłszy postać rycerza się chwieje
Jak blask księżyca w zwierciadle krynicy:

Pierszcha, jak obłok z oblicza dziewicy
Gdy wiatr powieje.

Boleść przeszła tkliwą piers dziewczyny,
Pielgrzymki skromną przybierając szatę
Spiesz, rzucając rodowitą chatę
Do Palestyny.

Przybywa wręście tam gdzie Tabor stary,
Tam gdzie trzy palmy, pod niemi mogiła,
By grób kochanka co prędzęj zoczyła
Obrońcy wiary.

Aż tam Lubwida w żalu się czołgała,
A łzą zrosiwszy wzgórek bohatera,
Po raz ostatni ku Polsce spozięra
I tam skonała.

Noc była ciemna — żadna z gwiazd nie tłała
Czarne obłoki widokrąg obwisły,
Lubwida tęskna nad brzegami Wisły
Już nie czekała.

Noc była ciemna na Syonu niebie,
Złączeni leżą gdzie Jordanu wody:
Wierna Lubwida i Włodzimierz młody
Tuż obok siebie. —

ROZDZIAŁ CZWARTY.

*Or che non può di bella donna il pianto
Ed in lingua amorosa i dolci detti!
Esce da vaghe labbra aurea catena,
Che l'alma al suo voler prènde, ed affrena.*
Tasso.

W jednym z nayodleglejszych przedmieść Zamościa, w stronie północno-zachodniéy w środku obszernego i owocowemi drzewy przepętnionego sadu, stał niski, ale porządnie ukształcony domek. Całe zabudowanie okazywało dowody dobrego, chociaż skromnego bytu. Pochyłe okna wewnątrz pozapuszczane były zielonemi franki, które oprócz wazonów lewkonii i rozety, i kilku na wysuszenie wystawio-

ných pęzli, nic więcéy widzieć nie dozwalały. Na obszernym, siedzieniami opatrzonym ganku, którego barwa zielona tak miły oku sprawiała widok, jak powóy otaczający go dla chłodu: siedziała w biel; przybrana kobiéta, piastując na ręku dziecię około dwu lat mające. Obok niéy znajdował się ręką na poręczy ganku oparty mężczyzna, który niemówiąc i słowa, tylko kiedy nie kiedy, odrażające rzucał spojrzenie. Na jego twarzy malowała się jawna nieczynność i niby obrzydzenie życia. Stróy niezwyczajny w tym kraju, na pierwsze zaraz spojrzenie zdradzał w nim cudzoziemca. Krótką suknią z czarnego aksamitu upstrzona bufami koloru szkarłatnego, odpowiadała zupełnie czarnemu i niedbale wciśnionemu baretowi, z pod którego dokoła spływał gęsty włos rudy. Krótkie ciżmy, otoczone franzlami, równie cudzoziemczą nadawały mu postać,

jak otarta złotem szyta przepaska, z po-
za której baczemu oku rękojść sztyletu
widzieć się dawała. Inne zupełnie wra-
żenie sprawiała postać wspomnioney ko-
bięty. Jęj młodociana twarz, lubo poo-
rana już cokolwiek, zgryzotą, czy wolnem
życiem, zdradzała ślady anielskięj piękno-
ści. Strój biały, który okrywał jęj kształną
kubic, nie był przy bliższęj rozwadze ran-
nym tylko ubiorem domowym, ale sztucznie
przybrany miał za to uchodzić. Jakby od-
niechcienia odkrywał on jednę część śnieżney
piersi, i wolny wstęp dawał rannemu
wietrzykowi, igrającemu niedbale spada-
jącym włosem. »*Corpo di diavolo!* cze-
muż dzisiay nieprzybywa, wszak to już ze
trzy godziny po wschodzie tego zimnego
słońca Polski,« ozwał się nareszcie męzczy-
zna, »dziś bardzięj nad inne czasy potrze-
buję go. Wczoraysza gra wypróżniła cał-
kiem moję kiesę, ale dziś musisz użyć

wszelkiéy mocy twoich czartowskich wdzięków Olimpio, ażeby ją napełnić.«

»Ależ rozważ Giacyn-to« odpowiedziała kobiéta: »żądać znowu dziś od niego pieniędzy, gdy onegdaj tak ogromną otrzymała summę.« —

»Niesprzeciwiay się woli mojęy czarcie z tą anielską twarzą,« wykrzyknął Giacyn-to; »musisz, chociażbyś i cały świat teraz wciągnąć miała w tę przepaść, w którą mnie wciągnęłaś. Poprzysięgłaś mi posłuszeństwo i wierność na ostrze tego sztyletu, kiedy jeszcze kurzyło się od krwi nienawistnego ci Paola. Musisz mi dziś dać pieniędzy, albo wiesz jakie układy moje. Znasz mię, że dotrzymuję słowa. Ale slysze tentent koni, to on, niezawodnie on. Idę skryć się, lecz strzesz się, ażebym niebył przymuszonym opuścić mojęy kryjówki.« To rzekłszy odszedł. Z gorszkim uśmiechem spoyrzała za nim

Olimpia. »O! sroż się, gróź! wynayduy wszystkie męki piekła,« mówiła patrząc za nim z westchnieniem. »Oboje wzajemnie w przepaść wciągnęliśmy się, ale z tą różnicą, że twoja dusza, przeznaczoną już piekłu, a moja tak czystą była, jak kryształowa powierzchnia morza mojej oyczyzny. Tyś sam jey czystość twojami zamącił czyny; nienawistne przeznaczenie dokonało reszty. Muszę cię dziś słuchać, jestem twoją niewolnicą, ale na Boga! tego niewinnego młodzieńca aż w taką wtrącać przepaść, to mi trudno przychodzi. Lecz nie! — dziś raz ostatni zażądam od niego pieniędzy, a sama dalej zerwę związek z nim, ażeby uchylić go od szponów twoich, tygrysie.« — W tej chwili w lekkim kłusie wjechał na podwórze z jednym tylko z myśliwych dworzan Stanisław Szydłowiecki. — »Otoż i on,« rzekła, spostrzegając go Olimpia i

skinęła z siadającemu aby się przybliżył. »Dnia dobrego piękna Olimpio!« rzekł nadbiegający młodzian, »czy samą jesteś?« — »Samą,« odpowiedziała: — »ale czemuż tak późno przybywasz Panie do téy, która z niecierpliwością oczekuje cię?« — »Jak zwykle,« mówił Sanisław »pod pozorem łowów oddalając się z zamku spieszyłem uscisnąć cię, ale po drodze nawinęło się w rzeczy samey coś zwierzyny, czego dla samych ludzi moich, opuścić nie mogłem. — Trudno mi było oddalić się od nich, lecz teraz, gdy tu jestem, zapewne wprzód nieznamdą mię, aż gdy nad wieczorem zatrąbią pojednego: jeśli tylko boska Olimpio niebędę przymuszonym dla nadejścia twego małżonka, prędzay oddalić się.« — »Na to bądź Panie spokojnym, wezwanym on jest do jakowegoś wielkiego Pana, gdzie portrety rodziny jego maluje i pewnie, przed zacho-

dem słońca nie wróci.« — Stanisław skinął na swego dworzanina, który z obudwóma końmi, spiesznie wyjechał z podwórza. »Weydźmy« mówiła daley Olimpia« do pokoju, gdyż wzbijające się słońce co raz bardziéy dopiekać poczyna.« — Skoro weszli oddaliła się na chwilę Olimpia, ażeby dziecię oddać w ręce piastunki, a Stanisław sam zostawszy, począł się obzierać w pokoju. Była tu pracownia mistrza Giacynta Montani. Znaydowały się tam porozwieszane naśladowania kilku arcydzieł pierwszych mistrzów, a na postawie, rozpoczęty właśnie obraz, przedstawiający Samsona i Dalillę. Zadrzał pomimowolnie spojrzawszy na to Stanisław, już poczynała snuć się w głowie jego myśl, iż i jego, los zdrady, lub podeścia czeka, w powierzaniu się kobiecie, gdy wszedłszy cicho Olimpia i przysunąwszy się na palcach po za niego, w namiętném uści-

śnieniu, tak gorący na ustach jego wciśnęła całus, jak południowe słońce jęczy oczyzny. —

Usiadłszy na sofie, wśród pieśzczoł wzajemnych oboje ani spostrzedz mogli, jak szybko im czas upływał. Olimpia nawet, owa Włoszka, w uściskach Stanisława niebyła niczem innem, jak tkliwą kochanką. Szydłowiecki, młody, kształtnie zbudowany młodzian, daleki wszakże od doświadczeń wielkiego świata, z natury obdarzony żywym i namiętnem sercem, kochał ją z całym uniesieniem pierwszój miłości: była ona bowiem pierwszym przedmiotem, dla którego uderzyło serce jego. Tylko chytre zamiary mistrza Giacynto zbliżyły go do niój, która będąc niewolniczą współpracą jego intryg i losu, przymuszoną została do grania roli tych naynędzniejszych istot rodzaju ludzkiego, które znieważając nayświętszy i naypiękniejszy węzeł przy-

rodzenia, na to tylko nadanych sobie uroczych wdzięków używają, ażeby niedoświadczonéy młodzieży niewinność, zdrowie i szczęście wydrżec zdołały; dla otrzymania nędznego złota. Niebyła ona dotychczas zupełnie zepsuta. Jéy jedynym własnym występkiem była miłość, reszta zaś przekroczeń, owocami konieczności i zbrodniczéy woli Montaniego. Tło jéy serca niebyło jeszcze zupełnie czarném, owszém bywały chwile, i to zbyt częste, gdzie pomysł czynów i położenia zatrwały ją. Ah, miłość! miłość czysta, nawet zbrodnia ucnotliwić musi. Doznawała jego Olimpia, doznawała obok Stanisława; dyż ku niemu czuła prawdziwie czyste przywiązanie, a gdy siedząc obok niego sparta na ramieniu, albo na łono jego spuściwszy swą głowę, prawie każde uderzenie rąka jego policzyć byłaby mogła, gdy chwyciła ręką jego, czuła się bydz tych u-

śnieniu, tak gorący na ustach jego wciśnięła całus, jak południowe słońce jęcy oyczyzny. —

Usiadłszy na sofie, wśród pieśczęt wzajemnych oboje ani spostrzedz mogli, jak szybko im czas upływał. Olimpia nawet, owa Włoszka, w uściskach Stanisława niebyła niczém inném, jak tkliwą kochanką. Szydłowiecki, młody, kształtnie zbudowany młodzian, daleki wszakże od doświadczeń wielkiego świata, z natury obdarzony żywym i namiętném sercem, kochał ją z całym uniesieniem pierwszey miłości: była ona bowiem pierwszym przedmiotem, dla którego uderzyło serce jego. Tylko chytre zamiary mistrza Giacynto zbliżyły go do nię, która będąc niewolniczą współpracką jego intryg i losu, przymuszoną została do grania roli tych naynędźniejszych istot rodzaju ludzkiego, które znieważając nayświętszy i naypiękniejszy węzeł przy-

rodzenia, na to tylko nadanych sobie uroczych wdzięków używają, ażeby niedoświadczony młodzieży niewinność, zdrowie i szczęście wydrżać zdołały; dla otrzymania nędznego złota. Niebyła ona dotychczas zupełnie zepsuta. Jęj jedynym własnym występkiem była miłość, reszta zaś przekroczeń, owocami konieczności i zbrodniczy woli Montaniego. Tło jęj serca niebyło jeszcze zupełnie czarném, owszem bywały chwile, i to zbyt częste, gdzie pomysł czynów i położenia zatrzymały ją. Ah, miłość! miłość czysta, nawet zbrodnia ucnotliwić musi. Doznawała tego Olimpia, doznawała obok Stanisława; gdyż ku niemu czuła prawdziwie czyste przywiązanie, a gdy siedząc obok niego sparta na ramieniu, albo na łono jego spuściwszy swą głowę, prawie każde uderzenie ręką jego policzyć byłaby mogła, gdy chwyciła ręką jego, czuła się bydz tych u-

ścisków niegodną; wtedy często, jak i
tę chwili, oko jęj przepelniało się łzami.
»Olimpio!« rzekła odradzająca cnota
w jęj sercu. »Olimpio! ty niem
żesz i niepowinnaś tego młodźca ci
gnąć w przepaść występku i nieszczęści
owszēm uratuy go, ochroń od szponó
niegodziwego Giacyntha.« — Przewzi
cie jęj było ustalonym, umyśliła nic i
gdy więcý nie żądać od Stanisława,
chcąc usunąć go od szkaradnych Mont
niego zamiarów, już chciała błagać go,
więcý w te niewkraczał progi, już chci
ła rzucić mu się do nóg, oskarżyć s
i stać przez to, jeżeli nie miłości, prz
najmniéy politowania Stanisława godn
lecz ukryty Giacyntha czuwał nad każd
jęj słowem. »Biada tobie Olimpio! biał
Stanisławowi, gdybyś to uczyniła.« —

Gdy tak cnota i obawa walkę w jęj
sercu toczyły, zadziwiony długim mi

niem Stanisław: »Kochanko!« rzecze, »czemuż tak milczącą jesteś?« Wtym spojrzął w jéy łzami przepelnione oko. Te łzy byłyby wszystko na nim wymogły. »Olimpio!« mówił dalej: »ty musisz być niešťczęśliwą, ukrywasz to jawnie przedemną. Czyż nieznasz mię dotychczas? czyż niejesteś przekonaną, że wszystko gotów jestem uczynić dla ciebie. Może cię niedostatek, lub potrzeba prześladuje? Oto jest moja kieska, oto kosztowny pierścień! jestem bogatym, bez uszczerbku ci to ofiarować mogę, tylko otrzyi, otrzyi łzy twoje...« Ah! już to niebyły te łzy Syrenny, których celem bywało twe złoto Stanisławie, ulitowany żałością Olimpji, anioł jéy opiekuńczy, wycisnął te czyste krople rosy z ócz jéy, i uśmięchnął się uradowany. Ale zły duch, twojém złotem przywołany, skaził czystość téy niebiańskiéy ofiary. Zbrodniczy Giacyntho! hołdowne

tobie piekło, nawet wtém uniesieniu cię ty, swe szatańskie wyprowadziło zamiary, i uśmiechnęło się w tryumfie, wraz z tobą w twojem ukryciu, a anioł Olimpii zapłakany odleciał.

Z westchnieniem zebrała Olimpia podane złoto, z obrzydzenia drżała jęj ręka, gdy go się dotknęła, w niém bowiem widziała spełnienie przekleństwa, które ją przykówało do Montaniego. Ukryty mistrz Giacyncto, widząc kres życzeń swoich już dłużej nudził sobie pobyt w swęj kryjówce, wysłał więc kogoś ze sług, aby doniósł, iż już zdala widać powracającego Pana. W prędkości jeszcze raz uścisnął Stanisław kochankę, wsiadł na rączego rumaka, pospieszył w knieje, gdzie już od długiego czasu z niecierpliwością szukali go myśliwi. —

Z wolna i z zwieszoną głową powracał na czele swego poczetu do Szydłowca

Ognisto zachodzące słońce rzucając promienie na pozołkłe już szczyty lasów, po drugiey stronie, w kształt łobrymów przedłużało ich cienie. Na przyległych równinach, już gdzie niegdzie poczynały tleć ognie pastérzy i rozlegać się odgłosy ich fletów. Dzisiay Stanisław bardziey niż kiedy wzruszony, opuścił Olimpię, dziś ~~z~~awało mu się, iż po dwakroć uczuł w sercu wzmagające się przywiązanie do niéy. Szybko, przez myśl jego przeleciała uwaga, iż nieprawą jest miłość jego; ale tym dłużej zaymywała się dusza, obrazem kochanki. Przechodził on w myśli, szczegółowo każdą chwile życia swojego od czasu poznania jéy, a im bardziey zagłębiał się wtéy myśli, przekonywał się, iż nad wyraz wszelki jest przywiązanym do niéy. —

* * *

Gdy w roku 1525 na dniu 9. Kwietnia, po śmierci Fryderyka Książęcia Saskiego, Hrabi Turyngii, ostatniego wodza krzyżaków, Zygmunt Król Polski, oddając Prusy Książęce w lenność siostrzeńcowi swojemu Albertowi Książęciu Brandenburskiemu, podpisał wieczysty pokóy, wtórego zaraz dnia odbywała się uroczystość, gdzie Król Polski miał odebrać hołd nowego Książęcia. Już od dni kilku napelnione ulice Krakowa, okazywały zjazd Panów polskich, mających być świadkami uroczystości. Pachołcy rządowi skrzętnie uwijali się po obszernym rynku i trudnili się przyozdobieniem miejsca tego, stósownie do tak świetnego obchodu. Wespół ze sobą widać było chodzących szeregowców pojednanych mocarstw, a czarne kirysy z czerwonymi krzyżami i długie włosienne pioropusze, spływające z przyłbic Prusaków, dziki ale piękny two-

rzyły kontrast obok błyszczący stali zbrojnych Polaków. Kilka dni wprzód już wszystkie pałace pozajmowane były przez najznakniejsze domy polskie, a wszystkie zajezdnie wrzały mnóstwem strojnych dworzan i słuźalców. Już około wieczora, od rogatek warszawskich zbliżające się liczne powozy, otoczone wielo jeźdźcami, zwiastowały przybycie jeszcze jakiegoś z najznakniejszych obywateli. Cały dwór zwracać począł drogę ku ulicy Floryjańskiej. Naprzód szła obszerna sześciokonna majowym kolorem i złotem sutto ozdobiona kolasa, wybita karmazynowym adamaszkiem i złotemi galonami wyszywana. Jęj drzwiczki ozdobione były kleynotami herbu Odrowąż. W nięj znajdowała się Pani, wprowadzie już nie w pierwszym kwiecie wieku, ale zawsze tyśiącem powabów jaśniejaca. Przybrana była w suknię tabinową z forbotem sre-

brnym, na wierzchu miała szwedkę aksami-
tną czarną, rysiami podszytą *). Po le-
wéy ręce obok niéy siedziała, naywięcéy
trzynastoletnia Paniénka, przybrana w kas-
syatę czamletową koloru popielatego sze-
merowaną aż do dołu złotemi pętlcami i
kosztowném sobolówem futrem. Głowę
jéy strojąca czapeczka niska sześćcio - gra-
niasta, koloru błękitnego, nachylona
nieco ku prawéy stronie i przystrojona
białą kitką, mile odbijała się od opuszczo-
nych na obie strony, przeplatanych per-
łami warkoczy, i od kosztownych kul-
ców, które zdobiły jéy uszy. — Tuż za
niemi postę-pował czwórkonny, równiesz
ozdobny powóz, w którym obok sędziwego
Pana, przybranego w ferezyę fiałkową
nózkami rysiami podszytą z guzami rubi-
nowemi, siedział młodzian dochodzący

*) Opis strojów jest ściśle historyczny.

może lat dwudziestu, ustrojony w usarkę aksamitną ciemno-zieloną ze złotemi guzami i podszywaną sobolowemi pupkami. Następywało jeszcze kilka różnemi osobami napełnionych powozów, a po obu stronach na dzielnych koniach z dzidami w rękę, a krzywemi karabelami u boku, jechało wielu dworzan, których stróy ozdobiony był barwą herbu Odrowąż. Wysokie kitki białe, i duże groźne wąsy, nadawały im postać wojenną, i okazywały, iż to są szeregowi pułków własnych przyjeżdżającego Magnata. Całe towarzystwo zbliżało się już do pięknego wtęy ulicy znajdujacego się pałacu, gdy przed bramą tegoż oczekujący hayduk, uyrzawszy je, spiesznie wbiegł, ażeby uwiadomić Burgrabiego o zbliżaniu się Pana pałacu, Kasztelana Krakowskiego. —

Zaledwo dnia następnego uroczym wdziękiem zajaśniało wiosniane słońce, a

już rozległy się odgłosy dzwonów wszystkich siedmiu-dziesiąt kościołów stolicy, nawet ogromny nowo odlany, Zygmunta imie noszący dzwón, jakby dla utrzymania harmonii, huczące swe rozpościerał odgłosy. Już suto strojne szeregi koronnego woyska pozaciągały straże, po rogach ulic, a znaczny oddział tychże uszykowany, czekał przed pałacem Hetmana wielkiego koronnego Jana Hrabi Tarnowskiego. Owdzie odgłos trąby zwiastował zbliżanie się bitnych szeregów krzyżackich, które po prawey stronie uzupełniły szpaler do kościoła katedralnego, z lewey strony już od wojowników polskich utworzony. Długo w tym porządku stali naprzeciw siebie wojownicy, zbliżeni tylko z obu stron naczelnicy, dla przepędzenia czasu poufną prowadzili rozmowę, gdy z uderzeniem godziny dziesiątę, porozstawiane straże uprzednie, dały znak zbliżania się

Arcybiskupa. W przepysznym powozie, ciągnionym przez sześć śnieżnych koni w suto złotem zdobionych rzędach, jechał Hsiażę kościoła w Polsce Jan Łaski Arcybiskup Gnieźnienski. Po jego lewey stronie siedział Piotr Tomicki, Biskup Krakowski. Obay w stroju pontyfikalnym błogosławili ze wszech stron z pochyloną głową zbliżającemu się ludowi. Po przed powozem, na białym rumaku, dumnie z wolna postępującym, jechał Jędrzey Łukowski, podtenczas kanonik kolegiaty krakowskiey, trzymając w prawey ręce, z lanego srebra ukształcone, godło zbawienia. Na znak uszanowania pospuszczali krzyżacy swe orężę, a Polacy powiewne proporce i tak z kornie uchyloném czołem, odebrali błogosławieństwo od powstającego w zastanowionym powozie Prymasa. — Wszystkich oczy teraz zwrócone były, ku stronie zamku królewskiego, gdyż co chwila ocze-

kiwano przybycia Monarchy. Nareszcie odgłos trąb i brzmienie janczarskiej muzyki, zdala zbliżanie się jego zwiastowały. Na czele wybranego oddziału wojska koronnego, na kosztownym rumaku arabskim, w stalowym złotem ozdobionym hełmie i takim puklerzu, rysią skórą odziany, spiętą brylantowemi klamry; jechał Jan Tarnowski. Lewą ręką silnie trzymał wodze ognistego rumaka, w prawej wzniesioną buławę, godło godności swojej: którym o tyle był wyższym od podległych sobie szeregów, o ile piękność męskiego lica jego i iskrzącego spojrzenia, przewyższała wszystkich wojowników. Po zatym oddziałem poprzedzony od wszystkich dygnitarzów korony, na swym, prowadzonym przez dwu koniusznych, koniu, przykrytym purpurową czabraką, której złotem i perłami wyszywane końce aż do ziemi prawie spływały, w stroju Majestatu z koro-

ną na głowie i berłem w ręku, jech Zygmunta. Tuż za nim w powozie cały przepychem Włoch ozdobionym, błyszcz od klejnotów i piękności, młoda małżonka jego, Bona z książąt Sforcych. Na kolanach trzymała anielskiej piękności trzyletniego następcę tronu: Zygmunta Augusta. Wiele bardzo za nimi następowało Pań i Panów kraju w przepysznych powozach, a z przepelnionych ciekawym ludem okien; wśród gradu wstęg i kwiatów, rozlegały się odgłosy pochodzące z serca Polaków: »Niechay żyje Zygmunta, Król nasz ukochany!« — Skoro przybył Król do kościoła, zajął miejsce na wystawionym sobie tronie, na przeciw zgromadzonych członków izby poselskiej, gdzie na czele sędziwych i uszanowanie wzbudzających mężów, z łaską marszałka znajdował się Piotr Hmita naczelnik seymu. Jak piękny obraz narodowości naszej! w jednym

prawie mieyscu, po jednéy stronie Król, po drugiéy zastępcy narodu. Co za węzeł majestatu z ludem! — Wedle przepisów etykiety owoczesnéy, natychmiast mianował Król deputacyją do zaproszenia Książęcia, a jako do wojownika wysłał na czele teyże, zwycięzce pod Orszą Konstantego Xiążęcia Ostrogskiego. — Na karym koniu w błękitno szmelcowanéy, okładanéy złotém zbroi, jechał Albrecht Kiążę Brandenburski, mąż zaledwo przewyższający lata młodzieńcze. Wzniosłą głowę jego zdobiła przyłbica, przybrana kilka czarnemi piorami strusia, które śród dnia pogodnego, nie unoszone od wiatru, tylko jak konary rozrosłego dębu, spływając w dół, jakowys cień poważny na twarz rycerza rzucały. Płaszcz czarny na ramie zarzucony, do połowy zakrywał całą zbroję oraz krzyż brylantowy, który na dużych ogniwach złotego łańcucha, jako znak do-

stojeństwa, zdołał piersi jego. Lewa ręka groźnie wsparta spoczywała na mieczu, który krzyżową rekością swoją, odpowiadał czerwonemu krzyżowi zakonu, zdobiącemu płaszcz Książęcia. Jechał on po prawej ręce wprowadzającego go Książęcia Ostrogskiego, a rozmawiając z nim przyjaźnie, poważnym i bacznym okiem wodza, spozierał na uszykowane szeregi krzyżaków swoich. Towarzyszyło mu dziewięciu rycerzy, wszyscy w czarnych płaszczach z czerwonymi krzyżami: wybór i ozdoba zakonu obrońców grobu świętego. Skoro przybyli do kościoła, odgłos trąb i kotłów dał się słyszeć, a Książę skłoniwszy się Królowi, uprzejmie przywitany od tegoż, zajął przeznaczone sobie miejsce po lewej stronie tronu, gdzie klęcząc przez całą sumę odmawiał z pobożnością pacierze, przepisane rotulą zakonu. Z wolna, po skończonym nabożeństwie, postępywał cały

obchód do wystawionego w rynku, jak niegdy po zwycięstwie pod Orszą, dla Króla tronu. Skoro tam zajął Zygmunt miejsce *) siedmiu posłów zaniósło prośbę Alberta: *azeby go Król do łaski przyjąć i Książęciem pruskim uczynić raczył, on mu wiernym lennikiem bydz zapewnia.* Po otrzymaney łaskawey odpowiedzi, zbliżył się przyszły Książę konno w towarzystwie swoich dziewięciu rycerzy, przed tron monarszy, zsiadł z konia, upadł na kolana przed Zygmuntem, zaś od otaczających podniesionym został. Obok tronu królewskiego, Krzysztof Szydłowiecki trzymał chorągiew białą, na której oprócz herbu, tkaną była złotem litera S. jako cyfra królewska. Powstawszy Król, podał to znamie szanowne mistrzowi, i w te przemówił słowa: »My Zygmunt pierwszy,

*) Ściśle historycznie.

»z Bożey łaski Król Polski, Wielki Książę
 »Litewski, Książę Ruski, Protektor państw
 »Pruskich, proźbom twoim i poddanych two-
 »ich przyzwalając, nadajemy ci lenniczem
 »prawem wsie, miasta, grody i zamki w
 »Prusiech, wręczeniem téy chorągwi udzie-
 »lając ci do nich prawa, a to z łaski i
 »szczodroblewości Naszey, którą ciebie ja-
 »ko siostrzana Naszego uczcić chcemy; w
 »téy nadziei, że tego dobrodzieystwa pa-
 »miętnym i wdzięcznym bydz nie prze-
 »staniesz.« Książę Pruski trzymając się
 chorągwi, czytana przez Arcybiskupa przy-
 sięgę wierności i posłuszeństwa lenniczego
 wykonał, schylił się przed Królem, a ja-
 ko godło znakomitey łaski, wzięty z rąk
 skarbnika Marcina Bonara, mieszczanina
 Krakowskiego, kosztowny łańcuch, Król
 mu na szyję włożył.

Już po ukończonéy uroczystości tłum
 mieszkańców ludnéy stolicy począł się prze-

rządzić po ulicach; wszyscy znakomici i przytomni obrzędowi Panowie, udali się na wielką ucztę do zamku królewskiego, nawet okna przepysznych gmachów stolicy zdawały się ponuremi, osieroczone z pełnych wdzięku twarzy, ciekawych Polek: gdy Stanisław Szydłowiecki, przypatrujący się wprzód z tłumu ludu świetnemu obchodowi, zadumany powracał do pałacu rodziców swoich. Niespodzianie rzuciwszy w jedną stronę okiem, obaczył kobiecą postać, obwiniętą w duży z czarnej materii płaszcz, która zasłonią będąc czarnym, ale dość przezroczystym welonem, oprócz tego stroju cudzoziemczego, swymi gestami okazującemi niewiadomość i zabłąkanie się w murach stolicy, dowodziła obcość swoją. Rozciekawiony ję widokiem Stanisław po krótkim namyśle zbliżył się do nię, a zapytawszy uprzecznie: czyli jego usługa nie jest ję potrzebną? gdyż

ile się zdaje obcą będąc w mieście, niewie którądy zwrócić swe kroki — otrzymał jak naygrzeczniejszą odpowiedź, w troche zła-manéy polszczyźnie: iż w rzeczy saméy jest przybyłą tutaj niedawno z Włoch, małżonką malarza Giacinto Montani, że podczas uroczyłości w tłumie oderwaną od niego została, i że niewie którądy zwrócić ma kroki swoje do pomieszkania na przedmieście Stradom zwane. Piękna nieznajoma tyle w każdym słowie swéy mowy odkrywała wdzięku, iż młody Szydłowiecki do żywego tknięty jéy powabem, oświadczywszy jéy w kilku słowach, przyjemność wypływającą dla niego z jéy poznania, podjął się bydź jéy do pomieszkania przewodnikiem. Przyjęła to nieznajoma z grzeczną, ale razem pełną obawy odpowiedzią. Przez drogę żywą i obszerną nieznajoma prowadziła rozmowę o swoim kraju rodzinnym, o Polsce, nareszcie

o mężczyznach włoskich i ich sposobie myślenia, rzekła także o zazdrości ich, przyczém i swego nieopuściła małżonka. »W Pan szlachetny Polaku niewiesz co to jest zazdrość Włocha,« rzekła kończąc: »małżonek mój, gdy by nas oboje tak razem zobaczył, bez namysłu poświęciłby nas zapalczywości swojej« — a skoro tych słów domówiła, jak oparzona nagle odskoczyła z wykrzykiem »oddal się W Pan, widzę zdala zbliżającego się mego małżonka.« Tuż uczuł Stanisław, jak wydzierająca się jęć ręka z jego dłoni, gorącym uściśnieniem go pożegnała, a po oddaleniu się jego nawet, kilka krotnie widział ją odwracającą się i zaszajającą mu skrycie tkliwe pożegnawcze spojrzenia. Długo spoglądał za nią zadumany młodzieniec, na jego dotąd nieznanym podobnych uczuć sercu, zbyt dziwne i nader mocne sprawiła ta kobieta wrażenie. Już spotrzegł

zdala zchodzącą się ją z małżonkiem, a przecież pomimo wyobrażenia, jakie mu o nim zrobiła nieznajoma, umyślił postępywać z dala za niemi, ażeby przynajmniej dowiedzieć się o pomieszkaniu téj powabnéj kobiety. Przybyli do domu — jeszcze raz przed weyściem obeyrzała się Olimpia, i rzuciła okiem na spoglądającego za nią Szydłowieckiego, a po krótkiej chwili, gdy tenże jeszcze przed domem zadumany przechodził, tysiąc razy piękniejsza, bo nie zakwefiona, poczęła w oknie podléwać kwiaty. Odtąd ta strona miasta nayulubieńszey przechadzki miejscem była dla młodego Szydłowieckiego. Codziennie prawie widywali się z sobą; a niemogąc zbliżyć się wzajemnie, mowa ócz tak dobrze porozumieli się, iż w krótce Olimpia podała młodemu kochankowi projekt widzenia się z nią potajemnie, gdyż w tych dniach miał na jakiś

czas odjechać jęj małżonek. Po cóż tutaj mam dalszém opisanie rozwijać wzrastającą miłość i zbliżanie się co raz poufniejsze kochanków? — dosyć, że, gdy już pomimo wszelkich pozorów pod jakimi przebywał w Krakowie Stanisław, koniecznie zażądał oyciec jego powrotu do Szydłowca, śród łez pożegnania przyrzekła mu Olimpia, bądź jakim kolwiek sposobem przywieść małżonka do przeniesienia pobytu swego do pobliskiego Stanisławowi Zamościa. I łatwo udać się jęj to mogło, gdy całe poznanie się i usidlenie młodzieńca, było tylko zręcznie przez mistrza Giacyntha ułożonym i prowadzonym planem. Jeszcze przed zayściem zimy sekretnie doszły Stanisława list, uwiadomił go o zamieszkaniu kochanki w Zamościu, a odtąd czas przyjaźny łowom użyczał mu najlepszego pozorów, oddalania się wiadomym nam już sposobem z domu rodzi-

ców i trawienia czasu w objęciach Olimpi. Chytry Giacynto tymczasem korzystając z owoców swojego podstępu, pobierał wyłudzone od Stanisława pieniądze, a przyzwyczajony z młodości do rozpustnego życia, trawił nocy wśród gry i innych wszetecznych zabaw. Taki był stan rzeczy, gdy ostatnią razą odwiedzał kochankę Szydłowiecki, z tą tylko odmianą, iż zaumarła cnota w sercu Olimpii wzruszać się poczynała. Oby ją zdołała na prawą nawrócić drogę! —

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Nieszczęśliwy kto kocha, chociaż i kochany!
Tymon Zaborowski.

Już od kilku dni codzienne gońce z Grabowca do Szydłowca, nosiły wiadomość o polepszaniu się zdrowia Kazimierza, nawet sam Kasztelan po dwakroć już odwiedził był przyjaciół swoich, nie dając się widzieć słabemu. Gdy z postępem czasu odzyskał młody Grabowski zupełne już siły, znowu zajęły go zwykłe zatrudnienia, znowu po kilka godzin odludnie błąkał się z bronią, niby na łowy, ale ponurość jego co raz się powiększała. Nada-

remnie czuła Starościna starała się pie-
szczołami naytkliwszey matki rozweselić
go. Z uniesieniem całował on w takim
razie jéy rękę, mówiąc zwykle: »Ty Pa-
ni jesteś dobroczynną opiekunką sieroty,
którego matka w grobie, a oyciec się wy-
rzekł« — Tymczasem ciągle zaręczał Kaszte-
lan swego przyjaciela Grabowskiego, iż
czeka tylko stósowney chwili, ażeby Hazi-
mierza, w obec świata uznał synem, do
serca oycowskiego przycisnął, i do praw
syna przypuścił. Starosta znał dobrze swo-
ego wychowawca, wiedział jak boleśnie
jest tknięte serce jego, i bał się, ażeby ten
mikając co raz bardziey zeyścia się z Ka-
sztelanem nie odrzucił tego względu. Dłu-
gie nieraz wtym przedmiocie obay oyc-
cie prowadzili rozmowy, a nakoniec uło-
żyli, iż, niespodzianie zjehawszy się na
biad do Szydłowca, uskutecznić to będą
mogli. —

Zbliżający się dzień niepokalanego poczęcia Najsświętszhey Panny, dzień urodzin i imienin Maryi, został na to przeznaczonym. Obay starcy często z ukontentowaniem rozmawiali o nadspodziewaném wrażeniu jakie rzecz ta sprawi na umysłach wszystkich, a osobliwie na Kazimierzu, gdy uyrzy się uznanym za prawego potomka swojego oycy. »Tak, tym jedynie sposobem« mawiał Szydłowiecki: »odpłacę dług, winny pamiętce nieszczęśliwey Eugenii — ależ« dodał z westchnieniem: »będzie w tym gronie jedna osoba, na której, niewiém jeszcze jakie to sprawi wrażenie. — Starosto! moja Maryja kocha Kazmierza, kocha go bardziéy niż spodziewaliśmy się, w czasie jego słabości przekonałem się o tém. Maryjo! ty nienaychętniéy poznasz w nim brata, niech ci stwórca nada siły do zniesienia ciosu tego.«—

Naszedł nareszcie dzień umówiony. —
Blade słońce jesienne już oświeciło okn.

zamku Szydłowieckiego, a odgłos dzwonu kościoła farnego oznaymił rozpoczynające się nabożeństwo. Na podwórzu zamkowym już od świtu widać było ruch wielki. Stroyni hayducy uprzęтали gościnne pokoje, dziś bowiem spodziewał się Kasztelan zjazdu, lubo nie zbyt licznych, ale prawdziwych przyjaciół. Za powtórném uderzeniem dzwonów, zajęchała czterokonna kolasa przed ganek, wsiadł Kasztelan, jego małżonka i Maryja, by się udać na nabożeństwo. Wszyscy goście powoli nadjeżdżający, natychmiast za nimi do kościoła pospieszali. Po ukończoném nabożeństwie, zaczęły powozy jeden za drugim powracać do zamku. Skoro wjechał powóz Kasztelanstwa, rozległ się na podwórzu okrzyk radości, zbiegłych z pobliskich folwarków kmiotków, dla złożenia życzeń ukochanéy córce ich dobrego Pana. Maryja idąc za przykładem szla-

chetnej matki, była ich duchem opiekun-
czym. Niebyło łoża chorego, obok któ-
rego nieukazałaby się ona. Nieszczęśliwi
wprost dążąc do zamku, z jej rąk odbie-
rali wsparcie, ona dawała wiano cnotli-
wym i ubogim dziewczętom, słowem ona
była od nich wszystkich ubóstwianą. —
W ów czas było to zaszczytem; żony i
matki przodków naszych, niepogardzały
swymi poddanymi, niebyły im surowe-
mi Paniami, ale tkliwemi i dobroczyn-
nemi przyjaciółkami. A gdyby która do
wdzięków zdobiących dziewice polskie,
do tysiącznych przymiotów i skarbów
tego jeszcze niebyła łączyła, niebyłaby
się stała nigdy, celem miłości, godnie
myślących mężów narodu tego. Takie
to były obyczaje i w nich znaydywali
szczęście nasi przodkowie, tym to spo-
sobem małzonki krępowały serca mężów
tak dalece, iż choć czas ulotny uniósł

wdzięki, lat przysporzył, niezdolał zga-
sić miłości. —

Pięknie to było oglądać Maryję, gdy
w bieli przybrana, jak obraz niewinności,
wysiadłszy z powozu, otoczoną została kłę-
zczącemi kmiotkami, z których wszystkich
wychodził tylko jeden odgłos błogosła-
wieństwa dla nię. Grono młodych dzie-
wcząt w stroju wieśniaczym ale chędogim
owych okolic, wszedłszy, złożyło ję wie-
niec z ostatnich jeszcze kwiatów jesieni.
Przycisnęła go Maryja do serca, jak gdy-
by w nim, wszystkich dawców razem przy-
ciskała, a śród łez rozczulenia ozdobiła
nim piękną głowę swoje. Czemże są wszy-
stkie skarby golgadzkich kopalni w poró-
wnaniu z przyjemnością tego stroju! — W
kilku słowach podziękowała przywiązany
włóścianom za pamięć, uderzyła sownie
dziewczęta, a w towarzystwie rodziców i
gości pospieszyła do sali, gdzie znowu

wszyscy inni składali jéy życzenia. Tym czasem rozkazał Kasztelan wytoczyć beczkę miodu, kilka garncy wódki, oraz przysporzyć jadła dla poczciwych kmiotków na ucztę. —

Już zabierało się liczne zgromadzenie do śniadania, które zwyczajem starożytnym przed samym obiadem odbywać się zwykło, gdy wszedłszy Proboszcz Szydłowicki, zacny staruszek, ze łzami w oczach powinszował Maryi: »Bądź enolliwą moje dziecko, rzekł kończąc: »a będziesz szczęśliwą. Ja będę błagał Naywyższego o błogosławieństwo dla ciebie, jak teraz zawsze w moich modłach nieopuszczam prosić go o powodzenie całej rodziny szanownych Kasztelaństwa.« Maryja uchyliwszy się przed nim ucałowała rękę, którą poważny kapłan w postawie błogosławiący nad nią trzymał: »Ta ręka Maryjo! udzielając ci pokropu świętego, przyjęła cię na

łono kościoła, lecz pragnąłbym oraz przed zeyściem do grobu, aby ona cię wiecznym węzłem związała z tym, którego ci niebo na dozgonnego towarzysza życia przeznaczy. Czego że jeszcze doczekam mam nadzieję, gdyż za to ręką mi cnoty twoje, a co jak nayprędzey day Boże Amen.«!

— »Bógday prędko spełniły się twoje słowa, kochany księżę Hanoniku, a ja żebym w krótcie jako Starosta posunął polskiego z Kasztelanową na weselu;« ozwał się, znany z wesołości swojej, Michał Pomorski Podczaszy koronny, przyjaciel młodości Szydłowieckiego. »Ey Maryniu, tóż to ci pięknie będzie w ślubnym wianku; ale o tém potém, a teraz za zdrowie jéy *moribus antiquis* moglibyśmy kilka pucharów wypróżnić.« — »Ciesz mię to mój Panie Michale, żeś nam przypomniał, już też i czas po temu« odpowiedział Kasztelan. »Zapraszam więc Waszmości do

śniadania.« Udano się niezwłocznie do przyległej sali, gdzie uginające się od sreber stoły, smacznemi potrawy zastawione, zapraszały do jadła. Wszyscy już tam weszli, tylko Maryja została, i obzierać się poczęła, w tym pustym gmachu. Postrzegła nareszcie tego kogo szukała. W dużej framudze okiennej, stał zadumany i niewiedzący nawet co się tu działo Razi-mierz. Nadzwyczajna bladosc jego twa-rzy, zdradzała słabość lub zgryzotę we-wnętrzną. Z cicha zbliżyła się doń Ma-ryja, a ująwszy go za rękę, rzekła z tkli-wym wyrzutem: »Wszyscy już dziś czegoś życzyli Maryi, oprócz tego, którego ży-czenie, najmiłszém by jéy było; oprócz Razi-mierza.« —

»Maryjo!« wykrzyknął jak ze snu o-cknięty Razi-mierz i odwrócił twarz bladą, zasłoniwszy ręką oczy swoje; »Maryjo! wiec ty jeszcze nic niewiesz? — ah na Boga!

Maryjo, opuść mię, i niepowiększaj męki mojej! —

— »Kazmierzu!« odpowiedziała dziewica »jażbym miała odstąpić cię, w stanie, w jakim się teraz znajdujesz? nie! przynigdy. Co ci jest? powiedz — nie przerażaj mię trwogą. »Maryjo!« dał się teraz słyszeć głos w przyległym gmachu. — »Słyszysz« mówił daléy Kazimierz »wołają cię. Maryjo, opuść mię, ty niewiesz co się ze mną dzieje, ja niepowiniennem, ja niebyłbym pewnie dziś tutaj, gdyby nie posłuszeństwo rozkazowi oycy: tak, oyciec mój żadał tego,« powtórzył zamyślając się — »słyszysz Maryjo? powtórnie wzywają cię, oddal się i zostaw mié tu samotnym.«

»Nie! nie Kazmierzu, ja cię nieodstąpię, póki się niedowiem co ci jest; chociażby tutaj przyszli, i gwałtem mię ciągnęli od ciebie. Niech dowiedzą się o

naszëy tajemnicy, i cóż za przestępstwo, że kocham szlachetnego Kaźmierza. Mnie się nawet zdaje, iż czczemi były obawy nasze, cóż mieć może mój oyciec przeciw tobie? Jak brata kocha on Starostę, a ciebie, ciebie jak syna. — Czyż nie czułeś z jakim uniesieniem usciskał cię dziś, witając się z tobą? zdawało mi się, iż łzy w oczach jego widziałam — tak, dziś jest on tak uradowanym, tak dobrym, iż lepszëy chwili trudnoby znaleźć do odkrycia mu serc naszych, i cóż więc dzisiay może cię tak posępnym czynić? — może już niekochasz Maryi?» dodała łkającym głosem, »odpowiedz mi, błagam cię, albo zamiast radości dnia dzisiejszego, płakać będę.« —

— »Kochanko!« zawołał uniesiony młodzieniec i porwał ją w objęcie, nie pamiętny prawie co czyni — lecz w tém posłyszał głos Kasztelana przemawiającego do Starosty: Gdzież Kaźmierz

się ukrywa, iż go nie spostrzegam, przywołał go kochany Szymonie, niech spełnię przyrzeczenie moje.« — Na ten głos wyrwał się młodzieniec jak obłąkany z objęcia kochanki i szybko wyleciał z sali. Zalała się łzami Maryja, i zamyślona, jak ma sobie to wykladać, wolnym krokiem postępywała ku drzwiom drugiey sali, gdy z tamtąd spiesznie wybiegł Grabowski, szukający Kazimierza. —

Oprócz Starościny, nikt więcéy nie wiedział w całym towarzystwie, co rozumiał Kasztelan: pod, spełnieniem przyrzeczenia. Wszyscy umilkli gdy wchodziła Maryja, a wesoly Podczaszy, ujawszy ją za rękę z uśmiechem szepnął jej: iż tu się na coś dobrego zanosz: i pociągnął lekko, na próżne obok siebie siedzenie. »Cóż to płakałaś Maryniu?« rzekł »jeszcze zawcześnie! przy ślubie dość będzie czasu do płaczu.« Spoyrzała z zadumieniem na niego dziewi-

ca, i w téy chwili przypomniała sobie słowa Kasztelana, które z Kazimierzem doszły ich uszu w sali. Lekki karmazyn pokrył jéy lica, gdy jeszcze bledszego, niż w przúdy w prowadził Starosta syna, który rzucił się do nóg Kasztelana. »Móy synu! rzekł rozczulony Szydłowiecki, podnosząc go »synu ukochany!« — »A cóż niemówiłem, iż się na zaręczyny zanosz,« wykrzyknął uradowany Pomorski, i już ciągnął rękę zdumionéy Maryi, ażeby ją obok Kazimierza przed Kasztelanem postawić, już w całym gronie szmer potwierdzający rozszedł się, gdy zwróciwszy się do zgromadzenia Kasztelan, w te przemówił słowa: »Mylicie się kochani przyjaciele i sąsiedzi, Kazimierz jest prawym synem moim i mojęy pierwszéy małżonki, Eugeni córki Kanclerza Francyi, Antoniego Prata, i tu w obec was, uznaję go za krew moje i pierworodnego syna, jestto

Kazimierz Szydłowiecki! Milczycie zdumieni? ale chceycie udzielić mi uważnego ucha, a wnet objaśnię wam tę zagadkę. — Nayprzód do ciebie kochana Kasztelanowo, połowico moja, przyprowadzam syna, młodzieńca którego spodziewam się, jak własne dziecko do serca przyciśniesz. Uściskaycie go Maryjo i ty Stanisławie, jestto brat, praworodny brat wasz. Byłem niesprawiedliwym odciągając mu tak długo należne nazwisko rodzica, teraz chcę mu to wynagrodzić, aby nieponieść z sobą do grobu wyrzutów sumienia.« —

Wszyscy zgromadzeni milcząc spozięrali wzajem na siebie, to na Kazimiérza, to na całą familią Szydłowicckich, a szlachetna Kasztelanowa z prawdziwém uniesieniem matki, uściskała Kazimiérza, równie jak bezprzytomna prawie Maryja, tylko zdumiony Stanisław, troche zimno wywzajemnił czule ucałowanie brata.

Krew się ścięła w żyłach Maryi na to odkrycie, a mocne zadziwienie i jakieś nadzwyczajne uczucie, prawie zupełnie odjęło jęj pojętność. Nic niemówiąc spoglądała tylko to na Kaźmierza, to na oycę, i jak ze snu przebudziła się, gdy już przy stole zdrowie jęj pić poczęto, a Kasztelanowa dała jęj znak, by podziękowała. Nareszcie poczęto nalegać rozciekawione zgromadzenie, ażeby Szydłowiecki rozwiązał im dziwną zagadkę względem Kaźmierza. Niewstrzymywał on się długo, gdyż zgadzało to się z chęciami jego, a westchnąwszy i kazawszy słuchającym i sobie ponapełniać puchary, czule i wiernie opowiedział wszystkim historiją miłości i nieszczęść swoich.

Po kilku godzinach martwości, dopiero pierwszy raz przysła do czucia Maryja. Los nieszczęśliwéy Eugenii rzewne łzy wycisnął z oczu jęj, tym tkliwsze,

im mocniej przeczuwała, iż i ona grób znajdzie w miłości swojej. Jeszcze nie-skończył całkiem Hasztelan powieści gdy żał nad nią taką wziął przewagę, iż łkając i wśród drzenia serca zasłabła, do swojej komnaty zaniesioną byźdź musiała.

Skoro się rozruch, który to zdarzenie sprawiło cokolwiek uspokoił, i cieka-wa Hasztelanowa, powierzywszy staréj ochmistryni pieczę córki, wróciła do sto-łu; skończył Hasztelan opowiadanie swoje z widoczném uczuciem, które na nim te wspomnienia sprawiały. »I oto!« rzekł: »w Haźmierzu widzicie szanowni przyjaciele, owoc tego związku, odtąd wracam mu słusznie należące się imię oycy, i uznaję go jako pierwородnego syna za dziedzica dóbr moich familjinych. Niechcę ja prze-to krzywdzić reszty dzieci moich. Ty kochany Stanisławie, otrzymasz stósownie do stanu twojego dostateczne włości, a

Maryja posag. Życie tylko w zgodzie, kochajcie się, gdyż jedną krwią jesteście, jeśli chcecie zyskać błogosławieństwo oycy. Ty zaś droga Heleno, w której posiadaniu jedynie mogłem odzyskać Eugenię, która już przez lat dwadzieścia, szczęściem małżeńskim wzięciaś me życie, teraz już zupełnie znasz twego małżonka, a ja wiem, iż myśl twoja zgadza się z sercem moim.» Rozczulona Hasztelanowa rzuciła się w objęcie męża. — Wszyscy z uniesieniem wznosząc puhary, pili zdrowie Hasztelana i ściskali go po kolei. »Dalibóg! Krzysztofie, i jabym był tak uczynił,« rzekł całujący go Podczaszy, któremu pierwszy raz w życiu podczas téj powieści łzy w oku stanęły. Aż do późnéj nocy trwała radość i uniesienie zgromadzenia, zatrute jedynie słabością Maryi, nad której łóżem, oddaliwszy się w krótkce z towarzystwa, czuwała tkliwa matka. —

ROZDZIAŁ SZOSTY.

*. . . Tak równie z dnia przelotem niezwró-
tnie ucieka
I zieloność i kwiaty wątych dni wstłowieka
Mija chwila za chwila i wiosna, za wio-
sna,
Lecz te już nieodkwitną ni więcej od-
rosna.*

Karol Sienkiewicz.

Tylko co dnia następnego uspokoiła się wrzawa rozjeżdżających gości, ponurość jakowaś otoczyła wzniosłe mury zamku Szydłowieckiego. Stan zdrowia nieszczęśliwéy Maryi co raz pogorszać się począł, już kilka gońców wysłano za lekarzami do pobliskich miast, którzy powol

przybywając, z gorliwością poczynali zajmować się staraniem o uzdrowienie dziewicy, spodziewając się sowitey od możnego Kasztelana nagrody; gdy uspokojony cokolwiek ich troskliwością i przyrzekaniem Szydłowiecki, wybierać się począł w podróż do stolicy, by tam przedstawił Królowi Kaźmierza za syna swego, i prosił o potwierdzenie swego postępku. Przed wyjazdem samym przywoławszy Stanisława, polecił mu wszystkie familiine sprawy, i dał zlecenie postępywania w przypadku pogorszenia się zdrowia siostry. Poczém udał się pożegnać małżonkę. — Nie dozwolili lekarze, uwiadomieni o powodach słabości Maryi weyść tam młodzieńcowi. Tu dopiero żal Kaźmierza na nowo wybuchnął z całym zapalem. Dopiero jasno stanął mu w oczach stan serca kochanki, o którym dotychczas zajęty radością z odzyskania oycy niebył pomysłał. —

Dopiero uczuł się stokroć nieszczęśliwszym jak wprzód. »Maryjo!« westchnął: »czemuż zawistne przeznaczenie tak losy nasze powiązać musiało, iż to, czego ja jako jedyne pragnąłem szczęścia, staje się źródłem katuszy dla ciebie, i może wiecznego bólu dla mnie samego. — Boże! czyliż już w łonie matki tknęło mię przekleństwo, iż tak okrutnie cierpieć muszę, iże w samém szczęściu wyższe nad siły moje uczuwać boleści! Twórcó! jeśli tak jest, ścigay mię groty twojemi, ale nieday cierpieć niewinnéy! Wzmocniéy i uwolń od katuszy jéy serce, ocal siostrę moje!« Wzniósł oczy w niebiosy, a łzy strumieniem potoczyły się po pięknych licach młodzieńca. — Otarł je prędko widząc z pokoju Marvi wychodzącego oycy, a uspokojony cokolwiek zaręczeniem tegoż, iż życie siostry nie jest w niebezpieczeństwie, wsiadł z

Kasztelanem do czekającego już dawno wypakowanego powozu.

Żywo pospieszała rączka czwórka z góry zamkowej. Szydłowiecki zdawał się w zamyśleniu, jakoweś ważne układać przedsięwzięcia, a wyobraźnię Kaźmierza tylko przeszłości napełniały wspomnienia. Lubo czuł już, iż nieprawą była miłość jego ku Maryi, tyle powabu znajdował w wspomnieniu sobie przepędzonych obok niej chwil w pierwszemy miłości, iż niemógł oderwać myśli od tego przedmiotu. Serce jego drzeć poczynalo na samo wspomnienie o kochance, a boleści przeszywały łono jego, gdy tylko zbliżał się do pomysłu, iż ona życiem to przepłacić może. Zaledwo wstrzymać zdołał cisnące się z oczu łzy, i gwałtem prawie dla zapomnienia o tym przedmiocie, zaczął na co innego zwracać myśli swoje. Nieznacznie postępując z przedmiotu na przedmiot, przypomniał so-

bie także, jak zimno wywzajemnił Stanisław jego braterskie uściśnienie. Znowu drugi, zatruwający szczęście jego, powód!— Może ón ma przyczynę nienawidzić cię Kazimierz? Jakże radby był teraz spojony z nim podwóynemi węzły: przyjazni i pokrewieństwa, podzielać życia roskosze i trudy, znaleźć w nim poufnego doradce, i wspólnie, ku sławie spólnego działać rodu. Teraz bowiem dopiero otwierało się pole dla czynnego ducha Kaźmierza. Podczas gdy mniemał się być synem Grabowskiego, lubo także syn znacznego szlacheica, mógłby był piękny znaleźć zakres czynności; nie wporównaniu jednak z tym, jaki go teraz oczekiwał. Grabowski zniechęcony zgiełkiem dworu, wypłaciwszy już winny dług oyczyźnie, w cichem ustroniu dóbr rodzinnych, na łonie natury, obok ukochanęj zawsze małżonki, spokojne tylko wiódł życie. Przeciwnie Szydłowiecki,

ten czynny i wielkiego ducha mąż, ulubiony od Króla, którego mądrą wspierał radą, ogłaszając Kazimierza synem swoim, otwierał mu najsławniejsze pole działalności i wkładał niejako obowiązek na niego, odpowiedzenia godnie, niezmordowaną czynnością, urodzeniu swojemu. Bezsprzeczenie byłby Kazimierz czuł się teraz szczęśliwym, gdyby myśl o Maryi, niezatruwała była szczęścia jego.

W tych i tym podobnych myślach zdążali podróżni nasi ku stolicy Piastów, dokąd już poprzedziła ich była wieść zdarzenia w Szydłowcu, mocą którego Kasztelan Kazimierza uznał synem swoim. W liczném zgromadzeniu na uczenie imienia Maryi, znajdowało się wiele osób, które wróciwszy do Krakowa, na pokojach dworu, tą dziwną i rzadką powieścią, uprzyjemniali czas schadzek swoich. Stare kobiety, które jak zwykle, tak i w onczas, nie-

mające już własnych miłostek, przynajmniej o cudzych rade rospowiadały; znaydowały wielki powab, w obrabianiu téy powiesci, lotnemi języki. Królowa Bona otoczona zawsze dużém gronem nayznaczniejszych kobiet w kraju, chytra, i już wten czas w nayinniejszey drobnostce wyszukująca drużyn, któremi potem umiała nad dobrym małżonkiem przewodząc, przywłaszczać sobie, prawie całkiem panowanie; lubiła słuchać podobnych opowiadań, objaśniających jéy zwyczaje i duch obcego jeszcze pod ten czas narodu. Zdarzyło się więc, iż właśnie, gdy w gronie wielu osób dworu swojego, słuchała pieśni sprowadzonych umyślnie ktemu włoskich śpiewaków, doszła jéy uszu rozmowa o tym przypadku, prowadzona między poblisko siedzącymi dwiema damami. Spiesznie więc dała poznać chęć, dowiedzenia się bliżéy o tém zdarzeniu, i tyle udziału

w słuchaniu go okazała, iż ta treść w chwili stała się przedmiotem ogólnej rozmowy. Pod czas tej zabawy właśnie, czyniący służbę paż, otworzył podwoje wchodzącemu Królowi, który zabrawszy miejsce obok pięknej małżonki, uważnym od niej uczyniony został, na treść rozmowy. Zdumiał się Zygmunt zaniekąd nad wszystkim co słyszał, ale przywołując w pamięci swojej pobyt w Paryżu, daleko dłuższe przebywanie Szydłowieckiego w tym mieście, a nadewszystko postać Eugonii; znajdował w całej tej rzeczy wiele podobieństwa do prawdy: »Jeśli jest prawdziwem to zdarzenie« rzekł: »dzielę szczerze z Wami żal nad losem nieszczęśliwej Eugonii, co się zaś Szydłowieckiego tycze, inaczej postąpić sobie nie mógł, bo szlachetniej postąpić nie można. Miło mi jest, iż co raz bardziej przekonuję się o wielkości ducha męża tego;

godzién zaiste! bydź doradcą Hróla.« Zamilkły kobiety nagle, mając właśnie już z ukończonéy powieści jako sens moralny, wywodzić: złe zasady Eugenii, niegodność postępku wykradzenia, i wiele podobnych rzeczy, ale skinienie Hrólowéy, nakazujące nowe rozpoczęcie śpiéwów, położyło koniec téy rozmowie —

W kilka dni zaraz, przybywszy Szydłowiecki w mury Krakusa, udał się do zamku królewskiego, i żądał tajemnego posłuchania. »Miłościwy Pani!« rzekł on wszedłszy tylko: »przychodzę u nóg Waszéy Królewskiej Mości, złożyć nader ważne zeznanie, i prosić o potwierdzenie czynu mojego.« Tylko co począł powieść swoję Kasztelan, łaskawy Monarcha z uśmiechem zbliżył się do niego, a kładąc mu rękę na ramieniu rzekł: »Już o wszystkiém uwiadomiony jestem, wiedziałem, iż Krzysztof Szydłowiecki, inaczej sobie postąpić

niemoże. Dlatego jutro zaraz Hasztelanie, twój Król i przyjaciel w obliczu zgromadzonego dworu, zadość uczyni żądaniom twoim, a to tym chętnie, iż już dokładnie przekonany jest, że syn twój jest dzielny i godnym tego młodzieńcem. Widzę w nim latorośl, waleczny na przyszłość obrony państwa, dlatego oczekuję go jutro, wraz z wami Hasztelanie, w sali seymowej.»

Opuszczamy tutaj opisanie świętego obchodu, pod czas którego, wśród zgromadzonych członków izby poselskiej, i całego dworu, łaskawy Król uroczyście dotykając się orężem ramion Kazimierza, wcielił go poczetowi obrońców państwa, i ogłosił prawym synem Szydłowieckiego: jak wszyscy z przymileniem oglądali smukłą postać uradowanego tym szczęściem młodziana, jak niewinne pomieszanie jego tyle dodało pięknym rysom powabu, iż sa-

ma Królowa przytomna z wysokiéy wystawy obrzędowi, powtórzyła zgodny odgłos Pań dworskich: »piękny młodzieniec!« — a spieszymy do Szydłowca, aby odwróciwszy oczy od przepychów dworu, zwrócić je tam, gdzie w zaciszy domowéy, nad łożem córki, macierzyńska czuwa miłość.

Nóc była — wszyscy dworzanie udali się już na spoczynek, tylko wartownicy okrążający zamek Szydłowiecki, odspiewywali swoje zwykłe wykrzyki; a w jedném tylko oknie przebijało się słabe światło. Na dużém łożu, otoczoném firankami z karmazynowego adamaszku, nieprzyuszczającami rażącego dla ócz chorey światła, leżała wybladła, i okrutną febrą znękana Maryja, zawarłszy na chwilę snem, znużone powieki. Widząc jey uśpienie, właśnie przysuwała się na palcach do łożka Hasztelanowa, a przytykając palec do ust, dawała znak O. Celestynowi, który nieo-

puszczałę stroskanéy matki, a dzieląc z nią trudy bezsennéy nocy, mrużący odczytywał przy obocznym stoliku psalmy, i wzdychał do Boga o przywrócenie zdrowia dziewicy. Po drugiéy stronie pokoju, u kominka, na którym przygasł już był ogień, drzymiąc, siedziały na przeciw siebie dwie służebne, a blask lampy przyświecający czytaniu O. Celestyna, ponuro oświecał tę scenę. Gdy już uciszenie się dość długie Maryi przekonało ją o śnie córki, przysunęła się na palcach do jéy łoża, i odsłoniwszy z wolna firankę, spojrziała na chorą: poczem dała powtórny znak O. Celestynowi, by cokolwiek ciszéy modły swe odprawiał. —

Kapłan uciszył się w modłach swoich, a Kasztelanowa widząc zapewniony spoczynek swéy córki, zbliżyła się do światła, i poczęła odczytywać, odebrany właśnie dziś list ze stolicy od małżonka, w którym do-

nosił jéy, o całéy uroczystości ogłoszenia syném swoim Kaźmierza, o przyjęciu łaskawém Króla, i o umówie z tym dobrym Monarchą, iż w piérwszéy wojnie, obay synowie jego, pospieszą walczyć wspólnie, za sprawę oyczyzny. Piérwszy raz dopiero czytała list ten Kasztelanowa, i zdziwiła się niemało, nieznachodząc w nim niczego więcéy, oprócz tych wiadomości. Po przybyciu tylko gońca, oddała go była Stanisławowi, a gdy ten blednąc i rumieniając się spieszenie go przeleciał, i niemówiąc słowa zwrócił matce, spodziewała się jakowych złych wieści i umyślnie, obawiając się, aż do téy chwili, odkładała czytanie. Skończywszy go teraz, zadumana oparła głowę na ręce: w mgnieniu oka przebiegła jéy głowę myśl, iż przez uznanie Kaźmierza, stracił Stanisław prawa i korzyści piérworodności — a przecież jest on jéy synem! — Lubo bardzo sprzyjała

Haźmiérzowi, niemogła wszakże przytłumić w sobie przewagi macierzyńskiéy miłości dla syna. Skoro odczytał ten list Stanisław, wzruszony i gniewny, niemówiąc nawet dokąd, poczoł się wybiérać, a dosiadłszy tylko rumaka, spiął go ostrogami tak, iż jakby od jędzy jakiéy pędzony, wyleciał z zamku. Niemiałaż teraz zadrzec nieszczęśliwa matka, przewidując wszystkie okropności niezgód rodzinnych. O. Celestyn widząc ją zadumaną, przenikający i znający całe położenie familii, zrozumiał powody jéy bolu, słowy pocieszenia przemówił do niéy, a jego łagodne, i uspokajające wyrazy, lały balsam w duszę stroskanéy matki: »Ufay w Bogu, córko moja! on cię nieopuści,« rzekł jéy nakoniec: »a jeśli modły nayniegodniejszego z sług Bożych dojdą uszu jego, wysłucha on próźb moich, i ześle ci pocieszenie, wszak jedno skinienie jego, twe troski, w radość zamienić

może.« »Tak jest ufam mu,« odpowiedziała, nabożnie wznosząc wzrok do góry Hasztelanowa: »wszak tylko on pocieszyć mię jest w stanie.

Wtęy chwili uderzyły brytany na podwórzcu zamkowém. Maryja zerwała się — przelękniona przerwaniem jéy snu matka, przyskoczyła do niéy, a wbiegając służąca, doniosła o powrocie Stanisława. »Tak późno, a on dopiero powraca, z kądże to?« — pomyślała Pani Szydłowiecka, a O. Celestyn wyszedł na przeciw młodemu Szydłowieckiemu, aby z nim pomówić; troskliwie bowiem oko tego przyjaciela ludzkości, czytało w sercach wszystkich mieszkańców tego zamku, i przewidywało grom wiszący nad plemieniem Szydłowieckich. —

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

*Zwey Hände zum Abschied vereint,
Zwey Lippen zum Abschied geküsst,
Zwey Thränen zum Abschied geweint,
Die haben den Abschied versüsst.*

Harlisch.

Czuł to dobrze chytry Montani iż cała złość i wściekłość jego niezdola nadal przyprowadzić Olimpii dokorzystania z przychylności Szydłowieckiego. Inny więc plan ułożył przebiegły cudzoziemiec. Trafem przed kilkoma dniami, dowiedział się o stanie okoliczności, rodziny Szydłowieckich. Jego przenikliwe oko, łatwo przewidywało, ile dotyczyć musi Stanisława, gdy widzi się wyzu-

tym ze znaczącego tyle w Polsce, prawa pierworodności. Już on przebiegł w myśli wszystkie podobnych zdarzeń skutki, i korzyści wypływające częstokroć dla obcych z niesnasek familiinych, już ułożył sobie jaką rolę grać, i jakie miejsce na stronie Stanisława zajmować będzie, i oczekiwał z niecierpliwością chwili, zbliżenia się do niego. Niezwierzał się z tą myślą Olimpii, a dla dokonania zamiaru swego udał, iż sam niechce widzieć nadal uwodzonym tego młodzieńca, i rozkazał jęj zerwać z nim związki, tylko jednę jeszcze schadzki pożegnania pozwalając. Sam zaś czuwał na tę sposobność trafienia Stanisława w domu swoim, i zbliżenia się do tawnika piersi jego. Bolesnym był dla Olimpii nakaz: niewidywania się z tym, który pierwszy, dał jęj uczuć rozkosz czystęj, prawdziwéj, choć nieszczęśliwéj miłości, ale iż go prawdzi-

7**

wie kochała, pomimo bolu serca, radowało ją usunięcie kochanka, od zbrodniczych zasadzek Montaniego. Z dziwném uczuciem bolu i słodkiéj tęsknoty, oczekiwała chwili, w którój po raz ostatni, miała widzieć się z kochankiem.

Właśnie w dzień ten, kiedy Hasztelanova odebrała list od małżonka, nad samym wieczorem wyszedł z domu zadumany Gyacynto, a Olimpia stojąca przy oknie, uyrzała przybywającego Stanisława. Już miała na zawsze rozdzielić się z kochankiem, już raz ostatni widzieć i pożegnać go, czegoż więc miała ukrywać serce swoje, które wtéj chwili mocniéj bić poczęło? Z rozwartými ramionami wyleciała przeciw młodzieńcowi, a z uniesionym wykrzykiem, ze łzą w oku, skryła głowę na piersiach jego. »Nie płacz Olimpio!» rzekł Stanisław, wywzajemniwszy jéj uściśnienie: »nie płacz proszę cię, jeżeli niechcesz po-

zbawić mię i téy jeszcze wesołości, z oglądania ciebie.« — »Cóż to ci Panie?« zapytała kochanka: »teraz dopiero spostrzegam w jakim znajdujesz się stanie, to poruszenie, ta bladosc twarzy, ta dzikość spoyrzenia, przebóg! może jakie nieszczęście?« — »Nieszczęście? nie, powiedz raczey przekleństwo ściga mię. Widzisz Olimpio, oto przychodzi do ciebie nie już pierworodny syn możnego Pana, przyszły dzierzca jego godności i majątku, ale nędzny, któremu tylko smutek i twoja miłość pozostały.« — »Miłość moja, o! ta ci Panie do grobu pozostanie,« odpowie Olimpia: »ale musimy uledz konieczności, już widywać nam się nie wolno. Mój małżonek, dowiedziawszy się dokładnie o związku naszym, pod naywiększymi groźbami rozkazał mi zerwać go.« — »Zerwać! niekochać ciebie, do tego mię nikt z ludzi nieprzymusiłby, ale niewidywać cię, mógł mi rozkazać, i tak

stać się musi, inaczej śmierć nieuchybna czekałaby ciebie i mnie «— »Giacynto umie dotrzymać słowa, ah umie!« dodała z westchnieniem, jakby po boleśnem jakimś wspomnieniu.— »Byway więc zdrów naysłodniejszy Stanisławie, może na zawsze w tém życiu. Boli mię to — serce omal z żalu niepęka, płaczę nad mém przeznaczeniem, ale śród tych łez bólu niejedna pada łza radości, wierzay mi Panie, tak lepiéy dla ciebie, lepiéy dla mnie, lepiéy dla nas obojga.«—

Młody, burzliwego serca młodzieniec, którego zbyt drażliwe czucie, po drugi raz już dzisiay, tak boleśnie tkniętém zostało, zimno na pozór słuchoł tych wyrazów, ale blednąc coraz bardziéy oparł się o pobliski stół i na reszcie w zupełne wpadł omdlenie. Przełękniiona Olimpia niewiedząc co czynić, krzykneła na służebną, która spieszenie weszła — a za nią

Montani. Bez najmniejszėj oznaki podziwienia, ten obłudnik wespół z niemi ratował młodzieńca, a załękniona Olimpia załamawszy ręce, czekała tylko, rychło oczy otworzy. Począł nareszcie przychodzić do siebie Szydłowiecki, ale zbyt osłabion na umyśle niezdolał nawet zdiwić się przytomności Montaniego. W téj dopiero chwili przeraziło Olimpię położenie w jakim się znaydywała, musiała przynajmniéy przed Stanisławem utrzymać przybraną rolę, rzekła więc, zbierając ile możności przytomność: »Ten Pan kochany Giacyn to, zdaje mi się życzy sobie, byś mu jakowys odmalował portret, a przybywszy tutaj, utrudzony spiesznią jazdą osłabł.« Nad jéy spodziewanie chytry Montani, który pragnął takiego zayścia się, w pełnym uprzejmości tonie odpowiedział: iż najmiley mu będzie dokonać życzeń tego Pana, iż bardzo go dotyka, to smu-

tne w jego domu zdarzenie. »Wszelako,«
 dodał: »jeśli Panie pozwolisz służyć sobie,
 puharem dobrego wina, wnet ci siły przy-
 wróci.« Ni w myśli odmówienia ni ze-
 zwolenia, kiwnął głową Szydłowiecki, a
 usługny Włoch, wybiegł natychmiast po
 napóy. Zapytujące rzucił młodzieniec
 spojrzenie na Olimpię, która odwracając
 oczy, jak gdyby bała się, iż całe jęj u-
 przednie obchodzenie z nim, jest mu już
 dostatecznie jasnym — »musiałam,« rzekła
 jākając się: »użyć tego wybiegu.« »Do-
 brześ uczyniła Olimpio!« odpowiedział jęj
 Stanisław: »bolałbym bowiem mocno, gdy-
 byś z mojęj przyczyny choć jedną łezkę
 uronić miała. O mnie mi niechodzi, mo-
 że lepiej by dla mnie było, gdybym dziś
 był ukończył życie od sztyletu twego mał-
 żonka. W każdym razie utrzymaniu nada-
 ną mi przez ciebie rolę, mam jeszcze oso-
 bę, która mi jest nadewszystko drogą,

mam siostrę, którą oto w téj chwili może śmierć wydrzeć mi zagraża, jéy rysy niech przeniesie małżonek twój na płótno, bo jéy spoyrzenia, jey cnot przeniść niepotrafi. — Mam i matkę, drogą matkę i tę — lecz nie, jéy rysy za głęboko wyryte są w mém sercu, bym obrazu potrzebywał. Ale mam oyca, oyca który jak ów ptak drapieżny własne plemię z gniazda wyrzuca — tego niech mi odmaluje, bym sobie ciągle jego nieczułość wspomniał, mam ja także i brata — brata mam już teraz« — Właśnie wracający Montani z puhami i pełnym dzbanem, jak gdyby od niechcienia usłyszawszy ostatnie słowa Stanisława: »masz Panie brata?« rzekł: »to dobrze, za jego więc zdrowie przyimiesz ten puhar, oby cię pokrzepił! O słodko to,« mówił dalej: »słodko mieć brata, bo cóż zrówna miłości rodzeństwa jeśli jest szczerą. Wszystko jeden dru-

giemu poświęcić jest gotów aby go uszczęśliwił. Ah! i ja kiedyś w mojej oyczyźnie miałem braci, a teraz sam jeden na świecie, jak krzak wśród puszczy. Za zdrowie więc brata twojego Panie!« mówił podając puchar Szydłowieckiemu. — »Za zdrowie brata mego?« rzekł zwolna Stanisław: »nie odbierz WPan ten napój, na to zdrowie, stałby on mi się trucizną, mam brata, ale ten brat wyzuł mię ze szczęścia, z praw moich, i przyprowadza o życie siostrę moję.« — »Widzę Panie,« przerwał mu Montani, »iż to jakoweś wspomnienie, bardziéy cię porusza, chciéy więc wypić ten puchar za zdrowie zyczliwych ci przyjacół.« Oko Stanisława padło w téj chwili na Olimpię, a w jéj spojrzeniu czytał prawdziwość tego, co mu obłudne wystawiały usta Giacyntha. »Tak jest, za wasze zdrowie dobrzy ludzie,« rzekł, i duchem wypróźnił ogromny pu-

har: »nikt mi bowiem niesprzyja, nie na moje zdrowie, ale na śmierć moję pili by chętnie.« — »Na cóż ta rozpacz szanowny Panie, zdajesz się bydź poruszonym, może żywa i rozogniona wyobraźnia w groźniejszych wszystko przedstawia ci kolorach, jak jest w rzeczy samej — ale jeszcze jeden puhar, ten powróci ci żywłość i wesołość, bo daruy Panie, ale ja niewierzę, aby własna rodzina, mogła cię tyle nękać.« Wychylił chętnie drugi puhar młodzieniec pogiębiony smutkiem, a jakby dla przekonania Montaniego, zwłaszcza rozgrzany winem, sam podjął się nieszczęście swoje opowiedzieć. Niby z obojętnym tylko udziałem przyjaciela ludzkości, potrząsając głową słuchał Giacynto znaney już sobie powieści, a rzucając gdzie nie gdzie wyrachowane słówko jakby na obronę obwinionych, za każdym razem więcej ziarn nienawiści rzucał w serce

Stanisława. — »Jesteś rzeczywiście skrzywdzonym Panie!« rzekł niby poruszony, gdy młodzieniec skończył swoje opowiadanie, i radby był w téj chwili wzruszenia, w téj rozstrzygającej chwili, używając sposobności; słowy swojemi całkiem już przykuł młodzieńca do siebie, ale przytomność Olimpii przeszkodą mu była. Rzekł więc nieśmiało »daruy iż proszę cię, abys chciał ndać się ze mną do mojęj komnaty, już jest późno, a widzę od snu zlepiające się oczy mojęj małżonki. Kobięty nie są zdolne, pojąć wzruszenia dusz męzkich, co ja, do dnia radbym słuchał i gdybym mógł radziłbym ci Panie. Oprócz tego zapewne niezechcesz wracać śród tak ciemnéj nocy do domu, dla tego przyim łożę na nocleg.« — »Nie!« odpowiedział Stanisław: »wracać dziś muszę, ale chętnie pomówię jeszcze chwilę z tobą zacny cudzoziemcze.« — »Dlaczegoż!« — ozwała się Olimpii,

przychodząc na pomysł, iż młodzieniec już wpada w szpony zbrodniarza, ale groźne spojrzenie Giacynta, przerwało jéy mowę, i tylko skinieniem pożegnała kochanka, spieszczonego z Montanim.

Hilka godzin już przeminęło, Olimpia niespokojna i zadumana przechodziła się po swoim pokoju, myśląc nad sposobem ratowania młodzieńca z sieci przebiegłego Montaniego, gdy usłyszała otwierające się drzwi pokoju Włocha, który oddalającego się wyprowadzał młodzieńca, szybko wybiegła na dwór, i już odjeżdżającemu Stanisławowi, chciała szepnąć coś do ucha; gdy jéy nagle, za rękę chwytając Giacinto, szepnął do ucha: »śmierć cię nieminie, jeśli mu jedno dasz słowo przestrogi.« — Dosiadł rumaka Stanisław, za-grzany winem serdecznie scisnął rękę Montaniego: »do zobaczenia« rzekł: »a dotrzyмай słowa« poczem spiąwszy konia

ostrogami, szybko wyleciał z podwórza. Spoyrzała za nim Olimpia, łzy zrosiły jéy lica, a jéy westchnienie przemówiło do nieba: Boże ratuy go z sideł piekła!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEY.

SZYDŁOWIECCY.

CZEŚĆ DRUGA.

Do H***

Pani! pierwsze słabe dzieła,
Pióro moje tobie dawa;
Nie śmiem prosić byś przyjęła,
Lecz ty przyjmiesz — boś łaskawa.

Twe spojrzenie mię natchnęło,
Czuć uczyło tve spojrzenie,
Twojém dziełem, jestto dzieło,
Tobie winno swe istnienie.

Nazbyt to ofiara mała,
Nieśmiałym ją niosę krokiem,
Lecz gdy na nią rzucisz okiem,
Obyś autora wspomniała!.

ROZDZIAŁ OSMY.

*Twieǳtas młoda róžo! bo przeszłości chwile
Ulatując od Ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiętek owady.*
Mickiewicz.

Ze strony Multan na nowo zagrażały Polsce niespokojności. Gospodar wołoski Bohdan, nieprzyjaciel groźny, lubo już kilkakrotnie porażony, ukołysanym został na chwilę, obietnicą otrzymania siostry królewskiej w małżeństwo; widząc zaś coraz wątlejące, a nareszcie zupełnie udaremnione chęci swoje; z ogromném wojskiem, abierał się wkroczyć w granice Państwa. Dla ubezpieczenia kraju, zwołanym został

Seym w Krakowie. Ale niestety! jakby na nieszczęście téy drogiéy ziemi, i wtenczas, **J**ak nieraz w długim pasmie dziejów narodu naszego, osobisty interes, rozproszył i bezowocnie zakończył to poważne zgromadzenie narodu. Chytra cudzoziemka na tronie, która opanowawszy umysł najlepszego z Królów, już wtenczas potajemnie przywłaszczała sobie wodze rządu, zdołała za pomocą swoich stronników, zburzyć te święte narady, z powodu iż wakująca pieczęć Państwa, nie jéy polubieńcowi Piotrowi Gamratowi, człowiekowi trochę podeyrzanych obyczajów, ale Janowi Choińskiemu się dostała.

Piotr Kmita, i Jędrzéz Krzycki, którzy także téy sprawy byli zwolennikami, za postępek może naysprawiedliwszy Króla, pomocili się na całym narodzie, wzniecając rozterki i przyczyniając się do bezowocnego rozwiązania Seymu. Pióro moje

drzy z niechęci, gdy piszę jeden z pierwszych przykładów tego zdarzenia, które na hańbę i nieszczęście nasze, za często powtarzane, tyłu klęsk méy oyczyzny było powodem. — Widząc Rról nagłą potrzebę, przymuszonym został wydać *wici na pospolite ruszenie*, sam zaś w towarzystwie nayprzychylniejszego sobie Jana Tarnowskiego, na czele małego tylko oddziału woyska koronnego, umyślił połączyć się, ze zbierającą się ochoczo, ze wszech stron szlachtą.

Właśnie co był powrócił Hasztelan Szydłowiecki, z tego bezowocnego Seymu, a jako obywatel prawdziwie kochający oyczyznę, przewidując zgubne losy kraju, wypływające z podobnych zdarzeń; zniechęcony i ponury byłby chętnie, sam jeszcze przywdział zbroję, pospieszył walczyć za całość i swobody kraju, ale obarczony już laty i osłabiony na siłach, sta-

wił krajowi na miéyscu jednego zgrzybiałego starca dwu hożych młodzieńców.

Od kilku dni w dziwném iakiémś usposobieniu ducha błąkał się Stanisław po obszernych gmachach zamku Szydłowieckiego zdawał się szukać i nigdzie nie znajdował spokoju. Matka i domownicy znając jego przywiązanie do Maryi, którey stan zdrewnia, co chwila się pogorszał, wykladał sobie ponurość jego jako ubolewanie nad siostrą, tylko doświadczony O. Celestyn, którego kapłańskie oko umiało się przedzierać w głębie serc ludzkich, widząc okłakany wzrok jego, potrzęsał siwą głową i szukał sposobności pomówienia z nim. Wrócił nareszcie Hasztelan — wieść wojny na którą miał pośpieszyć, radością rozświetliła ponury dotąd wzrok Stanisława. Otwartego i czulego serca Haźmiérz, w podobném uniesieniu, rzucił się na łono brata, przyszłego towarzysza broni, jego uprząy-

mość, iego tkliwa przychylność utopiły sztylet w sercu Stanisława, namiętnie wzajemnił uściski brata, a zdala widzący to Hasztelan ze łzami radości zawołał w uniesieniu: »Tak dzieci moje, niech'wiecznie trwa ten węzeł miłości braterskiéy, do pokąd chcecie ażeby błogosławieństwo oycy spoczywało na waszych, i potomków waszych głowach. Stanisławie kochay go^o on jest twoim starszym bratem, ty Haźmierzu bądź iego przewodnikiem, a obay wzajem bądźcie sobie radą i wsparciem, na wielkiéy a śliskiéy drodze sławy, którą teraz kroczyć macie.«

Starszym bratem! ozwał się głos piekła w piersiach Stanisława, a jad rzucony od Montaniego, zawrzał na nowo i uścisk miłości rodzinnéy, zamienił w uścisk potępienia. —

Od kilku dni pracował Montani ciągle zamknięty w swojéy komnacie, a cel

pracy jego był dla wszystkich tajemnicą, tylko Olimpia przeczuwając go, potrzęsała niekiedy głową, i boleśnie się uśmiechała. Ukończył nareszcie zatrudnienie swoje, a nazajutrz jak gdyby chcąc wytchnąć po pracy, rozkazał wszystko przygotować do przyjęcia gości. Na zapytanie Olimpii: »kto ma przybyć?« odpowiedział tylko zimno: »czyż zapomniałaś, iż Szydłowiecki ma nam dzisiaj brata swojego przedstawić. Trzeba okazać się godnie w przyjęciu tych szlachetnych gości, niech poznają Polacy, iż za granicą ich kraju, gościnność także przebywa.« —

Wieczorem widać było oświecone niskie okna domku Montaniego, a lube odgłosy muzyki i śpiewów włoskich, zdawały się dzisiaj tutaj obierać siedzibę swoją. Wszyscy Włosi znajdujący się podówczas w Zamościu byli gośćmi uczyty rodaka swojego, a napływ tychże w ten czas jak wiel-

kim był w Polsce, iż najmniejsze miasto hurmami ich liczyło. Bona bowiem za nadto sprzyjała ziomkom swoim, ażeby ich niemiała ściągać do bogatych krain, na których tronie siedziała, a namiętna miłośniczka muzyki, naywięcéy, umiejętnych w téy sztuce zwabiała. Nie dziw więc, iż zgromadzenie Włochów u Montaniego, było razem rozpoczęciem wytwornéy muzyki. Przy boku Olimpii, nierozweselony ale nawskróś przeszywany dźwiękiem melodyi, siedział Stanisław, a pozierając na zatopionego w boskich tonach Haźmierza spoyrzeniami swojemi jawnie jakąś walkę wewnętrzną zdradzał. Olimpia podobnie wzruszona, jak anioł pokuty, wybladła, spokojném ale baczném spoyrzeniem śledziła wszystkie poruszenia Gyacynta, krzątającego się około przyjęcia gości winem i wieczerzą. Niespokoyność jéy co chwila wzrastała, kilka kroć wychodziła i nazad

wracała, aż nareszcie raz ze łzą w oku i zadumana weszła. Na zapytanie Stanisława: »Coby się stało?« z przyciskiem i czule rzekła: »Nic dotychczas, niech będą Bogu dzięki! ale mogłoby się było stać.« Uściśnęła czule rękę kochanka, a usiadłszy nazad obok niego w zadumaniu głębokiem zostawała, aż póki weszły Montani, nieuprosił gości, by chcieli się pucharem wina pokrzepić. Postawiono na stole tacę z puhami dla wszystkich gości, a Gya-cynto porwawszy jeden, podając go Kaźmierzowi, mówił: »Ty Panie pierwszy raz zaszczyciłeś dóm mój obecnością twoją, jesteś zatem pierwszym między zgromadzeniem tych oto dawnych przyjaciół moich, przyimiy więc ten puhar na znak serdecznój gościnności zwyczajem przodków twoich.« — Olimpia z obłąkaném spojrzeniem rzuca na tę scenę, Stanisław odwraca zbladłą twarz, a Kaźmierz nścisknąwszy rękę

Montaniego, przyимуje puchar i niespełniając go jeszcze, nazad na tacę stawia. Reszta gości dzieli się pucharami, a Gya-cyntho wychodzi po dzban by na nowo je ponapełniać. Tutay jakiś rączy pomysł, maluje się w spoyrzeniu Olimpji — i chwili niema do stracenia, — porywa swój puchar i puchar Kaźmierza, zamienia je, nieznacznie, a stanąwszy przed nim miłym zapyta głosem: »Panie! czemuż spełnieniem pucharu tego niechcesz uczcić domu naszego?« w tym podaje swój puchar Kaźmierzowi, który z rąk jey przyimując, go uprzeymie, śpiesznie do dna wychyla, a ona przy wykrzyku wszystkich gości wzno-szących puchary, jemu przeznaczony spełnia, i wraz z pucharem wychodzi. Niedostrzegł odwrócony twarzą Stanisław, co się stało, a mniemając wykonaną już, nayokropnieyszą zbrodnią spełniając puchar po pucharze, chciał upoić sumienie swoje.

Podochoceni winem śpiewacy, na nowo boskie poczęli wydawać tony, gdy dano znać; iż Olimpia w swoim pokoju nagle zasłała. Z przelatującą szybko przez głowę myślą, przerażające cisnął Montani spoyrzenie, a Stanisław wbiegłszy, rzucił się na kolana przy łożu kochanki. »Stanisławie!« rzekła cierpiąca: »zapewne już odjeżdżacie, ale jeśli chcesz jeszcze żywą zastać Olimpią, wracay tutaj sam jak najszybciej, mam z tobą pomówić, zakim zamkną się usta moje na zawsze — ale wracay w krótcie, przed świtem jeszcze, gdyż mógłbyś już niezastać Olimpii twoiej.« Przyrzekł jéy to święcie Szydłowiecki, i w téy chwili z Kaźmierzem opuścił, ten przybytek zbrodni i' cierpienia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

*Człowieku, słaba istoto!
Dla czego chcesz się cnotą,
Gdzież twojej woli stateczność?
Wszak wszystkie twoje działania
Zastugi, czy przekraczania:
Rządzi niezdolna konieczność.*

Tadeusz Kretowicz.

Dzień już cały przeminął po tém okropném zdarzeniu, Olimpia wśród straszliwych męczarni okazywała stałość ducha niezwyčajną płci swojej. Zaraz po odejździe braci, oddalił się był Gyacyntho z domu, i dotychczas niepowrócił. Cierpiąca kazała łozę swoje zwrócić ku oknu wychodzącemu na podwórze i z oczekiwanieniem, tam częste rzucała spoyrzenia. »Przy-

rzekł mi przybydź wkrótce, mówiła sama do siebie: zapewne przybędzie, byle tylko nie spóźnił się. Dobrotliwy Stworco! tylko tak długo przeciągnij pasmo życia mojego, tylko tę jedną kroplę słodczy wśród tego morza piołunów. Niech go jeszcze raz uyrzę, niech przy nim zamknę na zawsze powieki, niech go ostrzegę o przepaści nad którą stoi, a jeśli w życiu niegodną w oczach jego grała rolę, niech nieumięram poczwara. Tylko co to pomyślała, a jużci tentent konia dał się słyszeć, a jakby na skrzydle burzy lecąc zatrzymał się Stanisław przed domem i szybko zeskończywszy wszedł do komnaty. Zadrzał na widok, który trafił oko jego, gdy uyrzał Olimpię bladą, z wyrytą na twarzy okropnością zniesionych męczarni. Jak posąg białego marmuru ukształcony dłutem wytwórnego mistrza, który do rysów martwego kamienia, wyrazy uczuć pododa-

wać zdołał; wydawała się blada twarz piękney Włoszki. Jéy gasnące oko jeszcze z wyrazem czucia i uradowania obróciło się do wchodzącego. Głosem martwym a słodkim, jak ostatnie echa odbijające dźwięk lutni, rzekła: »Dzięki ci, żeś dotrzymał słowa, ostatnia to przysługa z twéy strony, dla téy, która cię tyle kochała. Chcę jeszcze przed bliskiem uderzeniem ostatniéy moiéy godziny, tobie, któryś był tyle mi drogim na świecie zostawić krótki rys życia mojego, aby rzucając tę ziemię oczyścić się w oczach twoich, pobłogosławić nieszczęśliwe dziecko moje, błagać cię Panie, byś pamiętał o niém, jeśli ci drogą była matka jego, a gdy tych dopełnię obowiązków w obecności twojéy zamknąć powieki. —

»Olimpiol! po cóż te rozpacz? to jest chwilowa niemoc, wkrótce cię opuści, będziesz żyła, ażebyś została szczęśliwą.« —

Nieszczęśliwy! ty niewiesz, iż okropna trucizna szarpie łono moje, przygotował ją Montani, niewiem z jakiego powodu dla brata twojego. Niemogąc dozwolić, aby niewinny padł jego ofiarą, ani inaczej go ocalić, przemieniłam puhary i sama straszliwy spełniłam napóy.« —

Sprawiedliwe Nieba! wykrzyknął z naywyższą rozpaczą Szydłowiecki, i odwrócił twarz zbladła od kochanki, by po pomieszaniu jego niepoznała, iż był uczestnikiem morderczych zamiarów. Wstyd, boleść i stokroć powiększona nienawiść brata, wrzały w piersi jego. Nareszcie przemogła litość nad nieszczęśliwą ofiarą: »Może jeszcze możesz być uratowaną Olimpio, chociażby to, wszystko co posiadam kosztować miało. Każę zwołać wszystkich lekarzy, nie! ty niepowinnaś, ty nie możesz ginąć Olimpio;« to rzekłszy zakrył twarz rękoma i łkając chciał wyjść z po-

kojn. »Nadaremnie!« zwysileniem odpowiedzi Olympia; »ty nieznasz własności trucizny, która wre we wnętrznościach moich, niemasz na nią pomocy, a cała siła nauk ziemskich niejest wstanie na chwilę przedłużyć życia mojego, niedopiero całkiem mi je powrócić. Uspokój się drogi Stanisławie, nie ażeby narzekać na wczesny zgon, tak z upragnieniem oczekiwałam przybycia twojego. Dopełń ostatnich życzeń kochanki, usiądź tu blisko mnie, gdyż słabość niedozwala mi głośniéy mówić, i posłuchay mię cierpliwie.

Uskutecznił Szydłowiecki żądanie Olimpii, która odetchnąwszy ciężko, i ztarłszy śmiertelny pot z czoła, opowiedziała mu tkliwe i okropne zdarzenia życia swojego, (*) zdarzenia w których podobało się lo-

*) Historią Olimpii, mającą stanowić Epizodę w tym romansie, dla zbytney długości opuszczam, za to zaś w czwartym Tomie

sowi, wzory okrucieństwa na nieszczęśliwéy wykonywać ofierze. Ze łzami słuchoł długiéy powieści przerażony młodzieniec, a naywyższy stopień rozpaczy dotknął go, gdy nieszczęśliwa, w te zakończyła słowa: »Nakoniec poznałam ciebie ukochany Stanisławie, a uspiona cnota na nowo poczęła wzruszać się w mém sercu. Gdym cię moją miłością uszczęśliwić nie mogła, czuwałam przynajmniej, byś uszedł zastawionych ci sideł. Dziś, nieżałuję życia, poświęciłam je, za życie godniejsze, i za spokoyność twoje. — Ah! już czuję, iż się ostatnia moja przybliża . . . godzina, drogi Stanisławie! kaź tu wnieść syna mojego, niech go pobłogosławi, niegodna — ale matka.« —

Wysilenie się w mowie, do reszty jéy siły odebrało — Stanisław wniósł na ręku

moich Pism wierszem i prozą, jaką osobną powieść, umieszczę.

płaczące dziecko — umierająca wzniosła oczy w niebiosa: »Owocu nieszczęśliwego przeznaczenia matki, obyś! był od niéy szczęśliwszym; rzekła, i ze łzami ucałowała dziecko. Czuway ty nad niém kochanku, jeśli nie pogardzisz pamiątką Olimpii, której przy urodzeniu, krwawemi literami niezblagane przeznaczenie wytknęło pasmo nieszczęść i mimowolnych przestępstw.« — Westchnęła ciężko, siły ją opuściły — opadła w tył na łoże — a za drugim westchnieniem uleciała jéy dusza.

Prawie bez przytomności, rzucił się Stanisław na zwłoki nieszczęśliwéy — musiano go od niéy gwałtem oderwać. Jego wierny stajenny Mikołaj, z politowaniem spoglądał, na jadącego zwolna przed sobą Pana, który otrętwiały z żalu, tylko ciężkiemi westchnieniami starał się ulżyć, ciężarowi serca swojego.

* * *

Natura zdawała wysilać się na wydanie tak okropnéj nocy, jaka po tym smutnym dniu nastąpiła. Stanisław śmiercią nieszczęśliwéj Olimpii nawskróś przerażony, bądź to z nieprzytomności, bądź z uwagi by śród żalu swego nieukazać się rodzicom, opuścił gościniec i znajomymi sobie dobrze knieiami i borami jechał. Moźnaby powiedzieć, iż dotychczas tylko instykt konia, prowadził go, lecz wkrótce tak się zagłębił, iż zwierze, które także jeszcze w tych mieyscach niebywało, gdyż to była ściszka, którą ledwie piechotny mógł przeysć, poczęło ustawać, a nieustanne zaczepianie twarzy o gałęzie gęstéy krzewiny, przywołało Stanisława cokolwiek do przytomności. »Mikołaju!« rzecze obracając się do swego hayduka, »noc jest ciemna, okropna, wicher i burza coraz się wzmagają; ja sam nawet, lubo znam te knieie dokładnie, nie wiem gdzie się znajdujemy, i jak ztąd wy-

jechać, trzeba nam będzie upatrywać miejsca pod jakim rozłożystym drzewem, aby przebyć noc i tę burzę straszliwą.

— »A juści ja to dawno widziałem, że Pannie jedzie, kieby spał« odpowiedział Mazur: »a kiedy tak mamy zrobić, to ziedźmy wéy trochę na prawo tam jakiś duze stercą dzewiska . . .« Znaleźli dąb, którego rozłożyste stuletnie konary, dostatecznie osłoniły ich od deżdu, a otaczająca to miejsce drobna krzewina wstrzymywała pęd wiatru. Nic niemówiąc zsiadłszy z konia, rzucił się na ziemię Stanisław, a Mikołaj rozkiełznawszy konie by się pasły, począł zbierać łuczywa do zrobienia ognia. Wkrótce płomień buchający z ogromnego ogniska oświecił w około to ustronie puszczy, a Stanisław i Mikołaj pokrywawszy się w burki o kilka kroków od siebie legneli. Co za widok! Miejsce to iakby ponure sklepienie, okryte gałęziami dę-

bu, cokolwiek ledwie czerwienił połysk rozpalonego ognia. Wicher świszcząc przedziérał się przez liście krzewiny, i na wszystkie strony miotał płomieniem ogniska, od którego straszliwo odbiiały się blade połyski gromu, wciskające się przez wierzchołki drzewa. Grzmoty hurkocząc bez ustanku, zdawały się chcieć wstrząść posadę ziemi, a pioruny druzgoczące szczyty najwyższych drzew podwyższały okropność téy chwili i odpowiadały usposobieniu ducha Stanisława, który milcząc leżał na ziemi, z wspartą na ręku głową i nawet myśleć niezdolał związkowo. Pozanim leżący Mazur pomrukiwał pod nosem pacierze, bo przyzwyczajony do trudów, tak spokojnie i smacznie spodziéwał się usnąć tutaj, jak usypiał nieraz pod namiotem wojennym, obok oycy jego.

»A tuś bestyjó! czegos to się kieby gacyk błąkas pò nocy, pocekayno« — za-

wolał raptem tak iż Stanisław zerwał się z zadumienia. Obrócił oczy i uyrzał jak jego olbrzymi Mazur pochwyciwszy za gardło o ziemię obala Montaniego, a potém z poza pasa swego sążnistej dobywa nahaja: »Juzem ja to widział,« mówił daléy w zapale: »żes ty ciągle key mara jaka po za krzaki biegł za nami, sprawię ja tobie tatarskie śniadanie.« Z zadumienia niemógł jeszcze i słowa przemówić Stanisław, gdy w tém uporczywie odezwał się Gyacynto: »Puść mnie łotrze, ja chce mówić z Panem twoim. Pocekay!«— odparł hayduk: »sam cie wéy tam poprowadzę, może ci będzie trzeba za druzbę posłużyć.« Tutay w mgnieniu oka sążnisty Mazur z takim zamachem postawił chudego Włocha przed Pana swojego, iż ten okropnem przekleństwem włoskiém towarzyszył trzeszczeniu kości swoich. »Montani!« wykrzyknął dopiero Szydłowiecki, i zakrył twarz rę-

koma, gdyż ten zbrodniarz zdawał mi się krwią Olimpii zbluzganym, »piekelne widmo! dla czegoż mnie ścigasz? czyż ci niedość jedney ofiary? precz! precz odemnie, ażeby w wściekłości niepomścił się na tobie, nieszczęśliwéy.«

»O! pomściy się iéy Panie,« rzekł z udaną żalnością Montani, a uwolnisz mnie od katuszy które przeszywają serce moje «

Stanisław. Ty zbrodniarzu, tybyś miał żałować i cierpieć?

Gyacyntho. Nikt się nie rodzi zbrodniarzem, miłość do Olimpii powodowała mną, a możeszli ty mnie oto obwiniać, czyż iéy sam niekochał?

Stanisław. Przecz! precz niegodziwy, uchodź ażeby wściekłość moja niedowiodła ci, iż ją kochałem.

Gyacyntho. Czyż śmierć jéy jest z mojej przyczyny? wszakże ja ją przez ciebie straciłem, wszakże chcąc tobie powrócić

własność i prawa twoje przygotowałem ten nieszczęsny puchar — co za niewdzięczność? ale niechęć wymawiać ci jęj, nieba są sprawiedliwe, pomśczą się za mnie nad tobą.— Pięknie mi wynadgrasz, że dziś przekupiony od Haźmierza do zamordowania ciebie, zamiast tego przychodzę cię ostrzedz. —

Stanisław. Wielki Boże! jak sprawiedliwie umiesz odpłacać!

Gyacyntho. O pójdź teraz! pójdź do Szydłowca, rzuć się w jego objęcie, ustąp mu praw i korzyści, które sam Bóg przez urodzenie tobie przeznaczył, i nad zwłokami jedynéj siostry, która z jego ginie przyczyny, podaycie sobie do pojednania braterskie dłonie.

Stanisław. Co ty wyrzekłeś? moja siostra, moja droga Marya umiera? ha! zemsta! krwawa zemsta jęj zabójcy — Boże! Boże! wielki Boże! wszakżeś ty sam

włał w to serce przywiązanie do siostry. sam więc chcesz we mnie znaleźć narzędzie do pomszczenia się jęj niewinnej zgonu — Montani umiesz ty milczyć?

Gyacyntho. Jak grób, gdy tego potrzeba.

Stanisław. Niech więc na ciebie czaracie! spadnie krew Olimpii, a teraz wiem iż pójdiesz ze mną gdy zechcę przyjąć cie do usług moich?

Gyacyntho. Jak naychętniey, pragnę ci bowiem Panie okazać, iż z duszy ci służę, i zechcę pomścić się śmierci mojęj nieszczęśliwéj Olimpii na tym, za którego tę śmierć poniosła. —

Azeby noc przeczekać, pokładli się znowu wszyscy, a wzburzony umysł Stanisława, przedstawiając mu straszliwe utwory wyobraźni, w martwe prawie wprowadził go dumanie. Opodal leżał owinięty w swój czarny płaszcz, jak szatan czy-

chający na zbrodnią Montani, w jego zdradliwym wzroku piekielnie odbiły się promienie gasnącego ogniska, a na twarzy szyderski malował się uśmiech. Już udało mu się posiać ziarno, z którego wzrosły krzew miał mu złote rodić owoce, bo zbrodnia, o którą obwinił Kaźmierza, iż czuwał na życie brata, niepowściągnięta w sercu Stanisława obudziła zemstę, a korzyści które miał odnieść z niesnasek braterskich, już teraz w myśli obrachowywał. Piekło ty wspierasz zamiary polubieńców twoich! —

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

*... . Szczęśliwy kto siły postrada,
Albo modlić się umieć, lub ma się z kim
żegnać.*

Mickiewicz.

Wcześniej jeszcze dnia następującego stanęli w Szydłowcu, a pierwszy który przy wjeździe do zamku powitał ich, był Kaźmierz. »Bracie« rzekł z ukontentowaniem do Stanisława, »niewiesz o ważnej wieści. W tych dniach już wyruszają wojska koronne w pole, obadwaj pośpieszymy walczyć za sprawę narodu i sławę imienia naszego. Już poczyniono przygotowania do uzbrojenia hufców naszych, wczoraj go-

niec z Krakowa uwiadomił oycy naszego, byśmy w przeciągu trzech dni złączyli się z niemi.« Jakby niesłuchając tego przydał Stanisław: »Marya siostra nasza iakże się ma Haźmierzu? Ach! zle, bardzo zle!« odparł tenże i odwrócił twarz by ukryć łzę przepelnione oczy — w tém uyrzy Montaniego: »cóż ty tutaj robisz zacny cudzoziemcze?« zapytał przyjaźnie. »Moja małżonka umarła,« odpowie ten z udaną boleścią: utracilem com miał naydroższego na świecie, nic mnie już do życia nie wiążę, przybywam więc, ażeby pod znakami waszemi szlachetni bracia, walczyć za sprawę waszég oyczyzny, za sprawę kraju, który i mnie dał przytułek w nieszczęściu.« Z upodobaniem uścisnął Haźmierz rękę zbrodniarza, czcząc zamiary jego, ale Stanisław inaczą tłómaczył sobie tę przyjaźność, gorzko uśmiechnąwszy się, zeskończył z konia, i udał się do komnaty nie-

szczęśliwéy Maryi. — Cisza była w tym przybytku żalu i nieszczęścia, cisza głęboka, gdyż jedno drugiemu powtórzyć nieśmiało, iż Marya umiera. W jedném oknie okrywszy twarz rękoma, modląc się, óród łkania klęczała rozpaczająca matka, jéy załamane ręce zdawały się chcieć wydrzeć dziecię niebiosom. Okok niéy stał równie w modlącéy postawie z wzniesionemi w górę oczyma smutny oyciec. Jego wzrok mówił jawnie: »Boże! wszakże byłem tylko narzędziem rąk twoich, wszak tylko niewinną przyczyną jéy śmierci, ach! Pannie, zlituy się i niewydzieray mi dziecięcia!« Sędziwa postać tego starca uszanowanie wespół z udziałem wzbudzała. Na boku przy stole zastawionym narzędziami lekarskiemi siedziało dwu sławnych w téy pełnéy ludzkości nauce cudzoziemców. Wzrok z natężeniem otwarty, a nic niewidzący, częste pocieranie czoła rękoma,

nareszcie uroczyste ciche mowy, które częstokroć zwracali do siebie, okazywały ich troskliwość, i chęć uzdrowienia Maryi, oraz trudność dokonania tego przedsięwzięcia. O. Celestyn, ten pełen miłości blizniego, pocieszyciel nieszczęśliwych, z łzami w oku czytał psalmy nad łozem Maryi. Ah! a ona? Jak posąg z białego marmuru, wykuty dłutem mistrza, nad którego pięknoscią zdumiewając się, każdy żałuje, iż duszy nie zawiera; taką była Marya. Żadna boleść nie malowała się na iéy twarzy, oczy mocno otwarte, zdawały się przebić iaiąc skłipienia zamku w górę przedziierać, a karmazyn twarzy, którym ją gorączka osłoniła, odbijał się od albastru ciężko odychającego łona, jak czerwony blask zachodzącego słońca od białych promieni wschodzącego księżyca. — Otwiera nagle drzwi Stanisław, przzerwana cichość! zwracają się wszystkie oczy na niego, zwraca także

oczy Marya. Uśmiech przywiązania maluję się na jej ustach, podnosi rękę i wyciąga ją ku bratu. »Maryo!« wykrzyka Stanisław, przyskakuje do łóża, porywa rękę drogięj siostry, przyciska ją do serca, a twarze zadumanych lekarzy, ujaśnia promień nadziei.

Przeminęła chwila straszliwego oczekiwania, pokrzepiony otuchą, Kasztelan opuścił komnatę, ażeby z synami naradzać się względem blizkiego odjazdu tychże. Nadzwyczajny ruch w całym zamku, okazywał przygotowania do téj wyprawy, napełnione podwórza wrzały mnóstwem hoźnych i ochoczych szeregowców, w stajniach rozlegały się rzenia ognistych rumaków. Tu i owdzie ostrzono bułaty na karki najeźdniczych Wołochów. Nazajutrz ze świtem mieli bracia wyruszyć na czele swego oddziału i złączyć się z swoją małą garstką z wojskiem koronnem, które pod dowo-

dztwem samego Króla ku Lwowu się śpieszyło. Hasztelan oznaymił synom swoim, ile ludzi z niemi posęła i jakie do ich odjazdu poczynił przygotowania, a zostawwszy im dzień dzisiejszy do pożegnań, zlecił Kaźmierzowi, by przejechał się do Grabowca i prosił o błogosławieństwo drugich swoich rodziców, oraz obudwom by oddając się w opiekę Naywyższego, jego pieczy ten pierwszy tak ważny krok życia swego polecili. Obay ucałowali ręce szanownego oycy, i oddalili się. Kaźmierz do Grabowca, a Stanisław do zbrojowni, gdzie równie sobie jak wojownikom swoim, powybięrał doświadczone oręże. —

Noc przeminęła spokojniéy, Marya chociaż nie lepiéy się miała, ciszey i przytomniéy'ią przepędziła. Nadzieja, opiekuńcze bóstwo, nieopuszczające nawet na rusztowaniu zbrodniarza, wpajała Hasztelanowéy podobieństwo uzdrowienia dro-

giego dziecięcia. Ledwie dzień szarzać się począł, już ozwały się trąby zgromadzających się na podwórzu zamkowym wojowników. »Matko! oni już odjeżdżają,« rzekła Marya: »dozwól niech się z niemi pożegnam.« Ale jeden z lekarzy dał skryty znak Kasztelanowéy, która wymawiając się iż boleść pożegnania mogłaby złe mieć skutki, odmówiła jéy téy pociechy. Wszak i Haźmierz musiałby był ze Stanisławem razem pożegnać ją. Odwróciła na tę odpowiedź Marya z boleścią głowę, łzy puściły się z ócz jéy, ale i słowa narzekania niewyrzekła. —

W sali zamku uroczyście oczekiwali młodzieńcy pożegnania rodziców. Obay zbrojni w żelazne kirysy, ciężkimi przyłbicami przybrane mieli głowy. Na twarzach obu malował się rys jakowyś uroczysty, łączący zapal wojowników polskich, z wrodzoną żalością porzucania za-

gród rodzinnych. Pięknie było oglądać tych dwóch w kwiecie wieku wojowników jak poopiérani na swych ciężkich krzyżowych orężach, z uszanowaniem stali przed sędziwym oycem, który siedząc w dużem wspaniałem, jeszcze przodków swoich krzesła, rad nauk i napomnień oycowskich im udzielał. Niekiedy tylko w téj niewzruszonej postaci, uchylając przed mówiącym oycem z uszanowaniem głowy, potrząsali pioropuszami swych hełmów, albo słysząc wspomianane przez oycę czyny przodków, przy piorunach spojrzeń mimowolnie uderzali o orężę. Po jednéj stronie Kasztelana siedział O. Celestyn, po drugiéj zaś zostawione było miéysce dla Kasztelanowéj, tudzież znajdował się sędziwy Proboszcz Szydłowiecki, który miał błogosławieństwa kościoła udzielić rycerzom. Przybyła nareszcie Kasztelanowa, jéj blada twarz boleści zupełnie ukryć niemogła,

niezalewała się jednak łzami, a gdy rzuciła okiem na uzbrojonych młodzieńców, rozjaśniło się jéy czoło i to samo spojrzenie zdawało się powtarzać słowa Spartański: »Na tom go urodziła aby zginął za oycyznę!« — Cichość panowała w sali, i tylko chrzęst zbroi odbił się o wysokie sklepienia, gdy młodzieńcy rzucili się na kolana dla odebrania błogosławieństwa rodzicielskiego. Uroczyście powstali Hasztelaństwo kładąc rękę na głowy synów, i wymawiając przytłumionym głosem słowa błogosławieństwa. »Teraz dzieci,« rzekł do powstających Hasztelan: »śpieszmy do kaplicy zamkowéy błagać o błogosławieństwo tego, który błogosławił orężom naddziadów naszych, i pod którego skrzydłem aż do tego stopnia wielkości wzrosła ukochana oycyzna.« — »Oycze!« rzecze Stanisław, »niewolnoż mi pożegnać drogiéy siostry moiéy?« — a Haźmierz łzawem spojrzeniem

dwakroć czulej tę proźbę powtórzył. »Nie dzieci moje!« odwiodła Kasztelanowa, »lekarze utrzymują iż to pożegnanie mogło by ją życie kosztować. Odjedźcie ten raz bez pożegnania, a jeśli Bóg wysłucha modłów naszych, na nowo życiem i zdrowiem zakwitająca Marya, uwieńczy skronie zwycięzko wracających braci.«— Naprzód obay Kapłani, za nimi Kasztelaństwo, potem młodzieńcy, a za tymi cały dwór, wolnym krokiem postępowali do kaplicy, po przed którą w szeregu stali zbrojni szeregowcy hufca Szydłowieckich. Już przesłał za powodzenie rycerzy ofiarę świętą Proboszcz Szydłowiecki, już uklękli młodzieńcy do przyjęcia komunii, gdyż przed świtem prawie jeszcze spowiadali się, a Kasztelanowa trzymała w ręku dwie złote puszki na wstążkach, zawierające drzewo krzyża świętego, które im miała pozawieszać na szyję; w tym wchodząc jedna ze

służebnych Maryi, z pomieszaniem dała znak O. Celestynowi który śpiesznie z nią opuścił kaplicę. Kończy się święty obrządek, z uszanowaniem padają na kolana wszyscy wojownicy i odbierają błogosławieństwo Kapłana. Z zapalem waleczności narodu swego wyruszają do bram zamku.

»Na konie! na konie!« żywe rozlegają się odgłosy, a chrapliwe trąby przytłumiają ostatnie słowa pożegnania rodzicielskiego. I raz jeszcze u nóg rodziców i raz jeszcze w ich objęciu spoczywają, już mają dosiadać ognistych rumaków, które pod sobą drą ziemię kopytą, zajeżdża powóz, a Haźmierz rzuca się do nóg drugich rodziców swoich, w tym ponury okrzyk żałości rozlega się po zamku: »Marya nie żyje!« Kasztelanowa mdleje, Kasztelan zakrywając twarz rękoma opiera się o ścianę, niczem niewstrzymani młodzieńcy, biegną do komnaty siostry, ła-

mi rosząc zwłoki nieszczęśliwéy, który
śmierć przyspieszył ich odjazd. Polecili
Grabowski pocieszenie rozpaczających ro-
dziców, wsiedli na koń, spojrzeli na mu-
ry Szydłowca, a w pędzie rumaków, łzy
skrapiały zwierciadlaną stał ich puklerzy

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

*Bo Bóg w którego oczach nic się nieukryje,
Niewinnego łąy przyimie, winnego ubije.
Dyzma Bończa Tomaszewski.*

Na obszernych równinach pode Lwowem, tuż za cerkwią S. Jerzego, rozciągał się obóz, zebraney na odgłos: *pospolitego ruszenia*, szlachty. Sto pięćdziesiąt tysięcy téyże koczowało w tych mieyscach. W około otaczały obóz wyładowane: żywnością, bronią i amunicją, wozy możniejszych jak okopy, a plenne pola i łąki, mieszkańców zamożnego miasta, stały się pastwiskiem licznych koni szlacheckich. Mnóstwo rozbitych namiotów, stanowiło

przybytek wojowników, między którymi wiele kosztownie ozdobnych, i wszelkiemi wygodami opatrzonych, odznaczało mieszkania najznaczniejszych Panów kraju, mających udział w téj wyprawie, jakoto: *Kmity, Zborowskiego, Odrowążów, i t. p.*

Na dniu 7. Stycznia, już rano, straże okrążające obóz oznaymiły zbliżanie się Hróla, który wkrótce ukazawszy się w obozie, zgromadził w około siebie znacznieszą szlachtę, i oznaymił chęć, jak nayprędzszego wyruszenia przeciw nieprzyjacielowi. Rozterki jednak i zwady między Kmitą natchnionym duchem Bony mającący postronne cele swoje, i Odrowążami, tworzące natychmiast dwa stronnictwa, z których się wkrótce większych i mniejszych partyi bez liku natworzyło, zmieniły obóz w gwar niesnasek; a że ta wyprawa przez pięć miesięcy trwając, płonnéy tylko wrzawy narobiwszy, na niczém się rozeszła,

przeto słusznie czy niesłusznie uciemżeni dostarczaniem żywności mieszkańcy Lwowa, nazwisko *woyny kokoszey* jęj nadali.

Już tedy z początku widząc Król niepodobieństwo, prędkiego wedle życzeń swoich wyruszenia przeciw nieprzyjacielowi, przeniósł mieszkanie swoje do twierdzy miasta, zwaney *wysokim zamkiem*, i oczekiwał, rychło jedność wojowników da hasło do boju.

Jak mara tymczasem północna, błękał się Stanisław Szydłowiecki pomiędzy namiotami obozu, lub trawił dni całe w przyległych miejscu temu lasach. Ponieważ do żadney nienależał partyi, a służąc tylko krajowi, dalekim był od wszelkich ubocznych, osobliwie osobistych celów, równie, lecz nie wspólnie z bratem swoim, przykrzył sobie nieczynność położenia swojego. Ponury — gdyż śmierć ukochaney siostry, głęboką sercu jego zada-

ła ranę, podżegany nieustannie zjadliwymi Montaniego słowy, który knując plany zbrodni i własnych zysków, jak cień nieodstępował kroków jego; codziennie więcej stronił, a co większa, codziennie bardziej zniechęcał niewinnego Kaźmierza. W piersi jego tłała straszliwa iskra, która oczekiwała tylko powiewu niecącego wichru, ażeby w płomień wybuchnąć; a niebo, niebo trzymające już dawno w pogotowaniu grom zniszczenia nad sławnym rodem Szydłowieckich, wkrótce tę iskrę, w zabójczy rozzarzyło pożar.

Napróżno zaraz z początku wyprawy nieutulony w żalu po utracie siostry i... czego nawet pomyśleć nieważył się, Kaźmierz; radby był, wylaniem żalu swojego na łonie brata, zmocnić węzeł rodzeński miłości, węzłem przyjaźni. Napróżno ściagał Stanisława uprząmością, napróżno uprzedzał chęci, i życzenia jego;

ten go unikał — a słowa przychylności Haźmierza tak próżno uderzały o uszy Stanisława, jak próżno padają gorące promienie słońca, na odwieczne lody Harpatów. Zamknął więc w sobie żal swój, i umyślił dobrocią zniewolic do przywiązania, nie złe, lecz obłąkane serce brata. —

Tymczasem zbliżała się coraz burza nieszczęścia, wisząca nad ich głowami. Co tydzień prawie dochodzące ich wieści z Szydłowca, raz po razu smutniejszą przybierały postać. Przyciśniony już i tak wielkiem Kasztelan, utratą ukochanej córki naysroższy cios otrzymał. Zaraz po odjeździe synów wpadł w słabość, która z dniem się powiększała. Nadeszła w krótko straszliwa wieść, a goniec na śpionym koniu, oddał Haźmierzowi pakiet zawierający ostatnią wolę oycy. Już nieżył ten mąż, doradca Króla wielkiego, człowiek nieszczęśliwy, który czując wartość

cnót obywatelskich, mniéy zważał na czczą powierzchowność, który na zjeździe Monarchów w Wiedniu, nadanego sobie od Cesarza tytułu Książęcia Państwa rzymskiego nieprzyjął, który dwie małżonki z obcych kraiu Królowi swemu sprowadził, a sam musiał dożyć utraty, najszybszych sobie istot. Lecz niedocieczone wyroki nieba, może dla tego zebrały go z tego świata, by niedożył tego, co najstraszliwsze w rodzinie jego nastąpić miało. — Ostatnią wolą swoją, powtórnie ogłosił Kaźmierza pierworodnym synem swoim, zdając mu w spuciznie Szydłowiec, i wszystkie do tegoż przyległe dobra; z wyraźnym warunkiem, by jako podpora rodu, przybrał odtąd nazwisko: Pana na Szydłowcu. Stanisławowi zaś resztę znacznych dóbr swoich w Wielkopolsce przeznaczył.

Nieumiał w cnotliwych przedsięwzięciach wahać się ani wybierać Kaźmierz;

a łąza padająca utracie drogiego oycy, była oraz łązą przysięgi w jego szlachetnych zamiarach. »Oto pora Kaźmierzu« rzekł sam do siebie, »pozyskania serca brata twojego. Zrzecz się praw twoich, poprzestań na małej części, zwróć prawa własne Stanisławowi, wszak cię i tak czeka spuścizna drugiego oycy. A gdybyś i tęg niemiął; czyż posiadając naymniey, nie będziesz szczęśliwym, w szczęściu i przychylności brata. Niech, gdy wszystkie kwiaty życia ci zwiąnęły, ten jeden uprzyjemnia byt twoy.« — To przedsięwziął i stałem było przedsięwzięcie jego, oczekiwał tylko sposobnej chwili, do rzucenia się na łono brata, i odkrycia mu zamiarów swoich — ale nieba inaczey chciały!

Wieść o śmierci oycy, wyrazy ostatniej woli tegoż, już nienawiść ku bratu do naywyższego stopniu w sercu Stanisława doprowadziły. Nieprzeczuwał on jak szla-

chetnie i czule myślał ten o nim; niepomyślał nawet iż jednym krokiem zbliżenia byłby szczęście swe okupił — ale staranność Montaniego w utrzymywaniu nienasiek, zamiast zbliżania, coraz bardziéj odtrącała serca braci. — Ten niegodziwy rokując sobie tysiączne zyski, za zbrodnią swoją, skoroby Stanisławowi dopomógł do odzyskania praw, i majątku rodzicielskiego, póty jadowitemi słowy drażnił i tak już zranione serce młodzieńca, póty poduszczał gniew jego, póki ten pewnego razu w napadzie nieszczęśliwéj wściekłości, nieprzystał na zamiary jego.

Niesnaski stronników, panujące w obozie, do wszelkich zbrodni sposobną podawały rękę, a Montani z ułożonym już planem, oddalił się pod pozorem poselstwa jakowegoś z obozu.

Zaciekłość magnatów, nienawidzących się, a co gorsza może tylko udających nie-

nawiść dla wzniecenia niesnasek; z dnia na dzień się powiększała. Z krzykiem krążyły pomiędzy namiotami zbrojne hufce podochoconey winem Panów szlachty, i zaczepnym tonem wykrzykiwały nazwiska patronów swoich. Trafem wracający z samotnych swoich przejażddek Stanisław, nieprzytomny prawie sobie, pędzony furią zgryzoty, zaszedł drogę takiéy gromadzie. Zmrok już padał. — »Kto tam? krzyknął, jakby cały świat chciał do walki wyzwąć, morderą zczerwieniony szlachcic, dowodzący tą partya, i tak nasunął na prawe ucho czapki, iż ledwie na łyséy głowie utrzymać się zdołała. »Swóy!« odpowiedział Stanisław, chciał ustąpić z drogi napastnikom. »Kiedyś swóy!« mówił daléy szlachetka: »to musisz także należyć do partyi JW. Marszałka wielkiego koronnego Piotra Kmity — no! cóż to? nic niemówisz? — hey wiara! może ten smyk jest z Odro-

wążowskiéy partyi. Odpowiaday zaraz młokosie albo ci uszy poobcinam.« — »Ja nie należe do żadnéy partyi,« krzyknął nareszcie oburzony Stanisław, »i oprócz Króla pod którego standarami idę walczyć za oyczyznę, nieznam żadnéy partyi.« — »Co? i do JW. Marszałka? nie« zapytał cofając się rozpalony szlachcic: »a przystaniesz ty do naszéy partyi, albo cię na kapustę posieczemy?« —

Tu z wykrzykiem: »Niech żyje JW. Marszałek!« cała gromada, porwała się do szerpetynek. Widząc że nie żarty, dobył i Stanisław oręża; a oparłszy plecy o poblizkie drzewo, ile mógł bronił życia swego. — Szczęściem Kaźmiérz, mający z kolei dziś straż obozu, naszedł z kilku zbroynemi w to miéysce, a usłyszawszy głos Stanisława, rzucił się między napastników. Tłum coraz powiększać się począł, winem zagrzani stronnicy Marszał-

ka, bez pamięci rąbali, a ciemność coraz się pomnażająca, niedozwalała przyjaciela od nieprzyjaciela rozróżnić.

Nakoniec oświeciły pochodnie śmieśnie okrutną scenę, zbiegło się wiele szlachty, i uczyniło koniec napaści. W tym Haźmiierz rzuca na bok okiem i spostrzega we krwi broczącego Stanisława. Wykrzyknął przerażony, a jego ludzie przyskoczyli do ranionego. »On żyje i żyć będzie!« poczęli wkrótce wołać z radością, obeyrzawszy jego lekką ranę. Ożywiony tą nadzieją Haźmiierz przyskoczył do brata, i na rozkaz jego zaniesiono Stanisława do wblizkości znajdujacego się, namiotu Haźmierza.

Już północ wybiła na ratusznę wieżę Lwowa, gdy Haźmiierz uspokojony cokolwiek, wiedząc zaopatrzoną ranę brata, a co większa uradowany, iż ten czułem spoyrzeniem podziękował mu za staranność,

a niemogąc z osłabienia przemówić, rękę jego uścisnął; udał się by wedle powinności obeyrzeć straże. Lampa tylko jedna dogorywając, słabo oświecała obszerny namiot, a Stanisław lubo osłabiony, w dumaniu z przyjemnością spominał sobie wszystkie dowody przychylności brata. W jego piersi, na nowo ożywiał się już pochylony kwiat cnoty, czuł poruszającą się jeszcze niewygasłą zupełnie miłość ku Kaźmierzowi, wstydził się nienawiści swojej, drżał na wspomnienie uczynku, którego się odprysięgał, a cnotliwe przedsięwzięcie w krótce słodkim snem skleiło powieki jego.

Burza okropna ściągająca się na widnokręgu, powiększyła ciemność nocy, kłami chmur swoich. Jak ogniste węże wiły się częste błyskawice, prując bładawem światłem czarne obłoki, a gromy toczące się po horyzonie, przerażającą melodyą przygrywały piekielnym myślom złoczyńcy,

który jak mara nocna, owity szerokim białym płaszczem, ostrożnie oglądając się, zbliżał się ku namiotowi Różmięra.

Zastanawia się — widząc straż przed namiotem, którą Różmięra z ostrożnością zostawił, gdyby słaby Stanisław miał potrzeby pomocy. Jednakowoż nie zraża to złoczyńcy — bacznie okiem ściga krok żołnierza przechodzącego się wzdłuż namiotu, a nienamysławiając się długo, skoro ten odwrócił się, na palcach wsuwa się do namiotu.

Grom okropny jakby odgłos rozniewanego nieba, wstrząsł w téj chwili powietrze, a wicher wciskający się do namiotu, zgasił dogorywającą lampę.

Dobry zbrodniarz sztyletu, przystępuje z cicha do wiadomego sobie łoża, i powtórnemi razy silney ręki zadaje cios śmiertelny spiacemu Stanisławowi, który zaledwo zdoła lekki wykrzyk wydać, i wy-

jąc się, zlewa krwią własną to łoże, które miał zbroczyć krwią brata.

Jeszcze stoi zbrodniarz, z kurzącym się ode krwi żelazem, nad zwłokami ofiary swojej — ten pierwszy, z tylu mordów, przeraża go trwogą, niepamięta iż czas jest uchodzić z namiotu, sprawiedliwa opatrność umyślnie zseła nań to osłupienie — gdyż już wybiła godzina jego. —

Wciska się światło pochodni do namiotu, Montani widząc niepodobieństwo ucieczki cofa się w głąb namiotu, a wracający Haźmiierz, spostrzega we krwi brata swojego. Odwraca spojrzenie od tego okropnego widoku, i nadspodziewanie rzuca je na Montaniego, który blady, i drżący, w mniemaney ofiarze swéy zbrodni widzi téżże mściciela.

»Pochwyćcie tego zbrodniarza!« wykrzyka nareszcie Haźmiierz, i rzuca się na pływającego we krwi Stanisława. Ten jeszcze

nie konał — porusza się — otwiera oczy
— rzuca mdławe, i przebaczenia błaga-
jące spojrzenie na brata — niemogąc już
głosu wydobyć, z ostatniem natężeniem
ściska rękę Kaźmierza — i kona.



Wykazu prenumeratorów

(Ciąg dalszy:)

Protektorowie:

Brześciański, Stanisław.

Gorayski, Józef, były Kapitan Gwardyi
Woysk Polskich, Kawaler Orderu Le-
gii honorowéy 10 Ex.

Matecki Piotr.

Potocka, Hrabina z Hrabiów Gołowinów.

Rzechański, Antoni.

Wężykowa z Kottatajów, Maryja 2 Ex.

Zamoyski Hrabia Marcin.

. Prenumeratorowie:

Albertowicz, Ludwig.

Boduszyński, Bogusław.

10 *

ak Witalis.

Jagielski, (JMX.) Proboszcz w Brozowie
i Hanonik Przemyski.

Hretowicz Bogusław, Deputowany Stanów
Królestwa Polskiego, Kawaler Orderu
S. Stanisława.

Prek Stanisław, Kawaler Orderu Legii
honorowéy.

Rzechańska Xawera.

Stokowski, (JMX.) Proboszcz Haczowski
Hanonik Przemyski.

Suchorowski Michał, Doktor praw, Filo-
zofii, i sztuk pięknych.

Uruska Hrabina.

Zamoyski, Hrabia, Stanisław.

Zamoyski, — Adam.



Dalszy ciąg w tomie czwartym.

<http://rcin.org.pl>

INTROLIGATORNIA

Kosiński i Sp.

WARSZAWA

Marszałkowska 78.

F

1806